III

Korespondencja różnych do różnych.
Abgar - Żyphowski

1867 - 1907
i b.d.

Abgar Sołtan

(26)

1

DUBIENKO
p. i tel. Monasterzyska

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Bóg mi jakoś dopomógł i za dwa dni napisałem nowelkę, która mnie się podobała a sądzę, że i Waszym wymaganiom odpowie — Jest to rzecz z 63 roku którą z pamięci odfotografowałem — pisana z żywą akcyą i obrazowana wyraźnie. — Można ją bodaj po układnie wydrukować w świątecznym czasie bo rzecz się dzieje pomiędzy Bożem Narodzeniem a Nowym Rokiem.

./.

Proszę mi wskazać kogo z Redakcji
do kogo [illegible] moje posyłki ~~wskazać~~
przysyłać, bo mnie trochę sumienie
męczy, że czas Panu memi ko
respondencyami zajmuję. —
Teraz dam Wam już trochę odpo
czynku bo piszę dla Tygodnika
ilustrowanego nowelę, którą przed
Nowym Rokiem wysłać muszę.
Już w poprzednim liście prosiłem
Szołama. – aby kazał mi „Słowo” wy
syłać, a prenumeratę ściągnąć
kazał z honorarium. – od 2 lu

miesiąca nie mam „Sława" — bom
nie posłał prenumeratę, rachując
że dostanę za honorarjum. — Ale
Sława trudno mi się jej obyć. —

Proszę również Tadkowi Kurai mi
donieść, kiedy Pan Grabiński przy-
jedzie do Lwowa bo mam koniecz-
ną potrzebę się z nim zobaczyć

Przepraszam Stefana że go męczę
ma korespondencją — i przesy-
łam wyrazy najgłębszego szacunku

oddany sługa

7/XII 907

Abgar

Dr. med. Wassermann

3

poniedz.

Kochany Panie

Czy mógłby mi
z panem [illegible]
[illegible] może
Pan [illegible] przyjdzie?
Jeśli nie
to może zaraz
pilno —

z poważaniem
T. A.

[illegible] Pan [illegible]

4

26

28/10 1903

Do Towarzystwa Wydawniczego

Szanowny Panie Kolego!

Odnośnie do wzmianki mojej o ~~pro~~ zamierzonem przez Dra Caro wydawnictwie pozwalam sobie przesłać nadesłany mi w tej mierze jego list wraz ze spisem prac, upraszając o traktowanie listu jako oferty do Tow. wydawn., tudzież o łaskawe zawiadomienie w swoim czasie samego petenta o wyniku według adresu podanego w nagłówku listu.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

powolny sługa

O. Balzer.

List ten, napisany jeszcze przed feryami, ale niedoręczony z powodu nieobecności Sz. Pana Kolegi, pozwalam sobie odesłać obecnie 28/10 Balzer

5

Rzym 20 czerwca 1872 r
adres do mnie:
S. Nicolo Tolentino 46.

Szanowny i Łaskawy Panie Profesorze!

W czasie krótkiego pobytu mojego w Kra-
kowie miałem prawdziwą przyjemność poz-
najomić się, a obecnie korzystając ze zrę-
czności, pospieszam prosić o łaskawą radę
i udział w następnym interesie:
Po ukończeniu Akademii Petersburskiej
od szesnastu lat pracując w Rzymie, zebra-
ło się więcej przedmiotów rzeźbiarskich w mar-
murze, aniżeli bym mógł pomieścić na Wie-
deńskiej powszechnej wystawie w wydziale Peter-
sburskim. — Nie roszczę ja sobie prawa aże-
byście raczyli przyjąć na swój własny koszt
posłanie par z Rzymu do Wiednia z mo-
jemi marmurami; lecz sądzę że nie odmó-
wicie mi łaskawej nadziei gościnności, jako
rodakowi swojemu, ażebym i ja w Waszym
wydziale Sztukom pięknym poświęconemu
mógł umieścić ze dwa lub cztery przed-
mioty w marmurze lub z brązu.?
Ważniejszym do tego powodem jest: że od
czasu zajęcia włochami Rzymu na
stolicę Państwa, ludzie ta z każdym

dniem wzrasta nadzwyczajnie, przez co mieszka-
nia dobajecznych prawie cen dochodzą, — a cóż dopie-
ro mówić o pracowniach rzeźbiarskich. — Mojej zaś
Studii kończy się [illegible] kontrakt, a dom naz-
naczony na przebudowanie; przeto chciałbym się
zawczasu wycofać, a nawet i Krym opuścić,
bo nadzwyczaj silne upały tutejsze i ciągłe sirocco
bardzo silny wpływ na moje zdrowie wywiera-
ją; a korzystając z obecnie nadchodzącej wysta-
wy rad byłbym pozbyć się moich marmurów, by-
le tylko uniknąć. ażeby się dostały do Petersbur-
ga, — tem bardziej że mam do tego bardzo wy-
mowne powody. —

Między innemi radbym posłał na wydział
Krakowski (czyli też Galicyjski), grupę z brązu
wyobrażającą „Ucieczka z Pompei, w czasie wybu-
chu Wezuwiusza" Grupa składająca się z dziewięciu
figur, psa, konia i innych akcesoarów; piedes-
tał z kolorowego marmuru upiększają cztery
brązowe bareliefy; a razem wszystka kompozycja
składa się z 36ciu figur i rozmaitych upiększa dopełnia-
jących ony przedmiotów. —

Polecając moją prośbę łaskawym względom
i oczekując odpowiedzi, — mam honor zostawać
z wyrażeniem prawdziwego szacunku dla Sza-
nownego i Łaskawego Profesora zawsze najżycz-
liwszy Wiktor Brodzki

nb Jeżeli ułaskawicie mię Swoją odpowiedzią to proszę listu niefrankować, gdyż pewniej dochodzą.—

Dołączam przy niniejszem fotografię z grupy „Pompei" dla Stereoskopu.—

Al Stimatissimo Signor
Signore
Łuszczkiewicz
Professore di Academia delle Belle Arti in
Cracovia

Brodzki Wiktor
stary rzeźbiarz polski w Rzymie

7

Drumont
IV 30

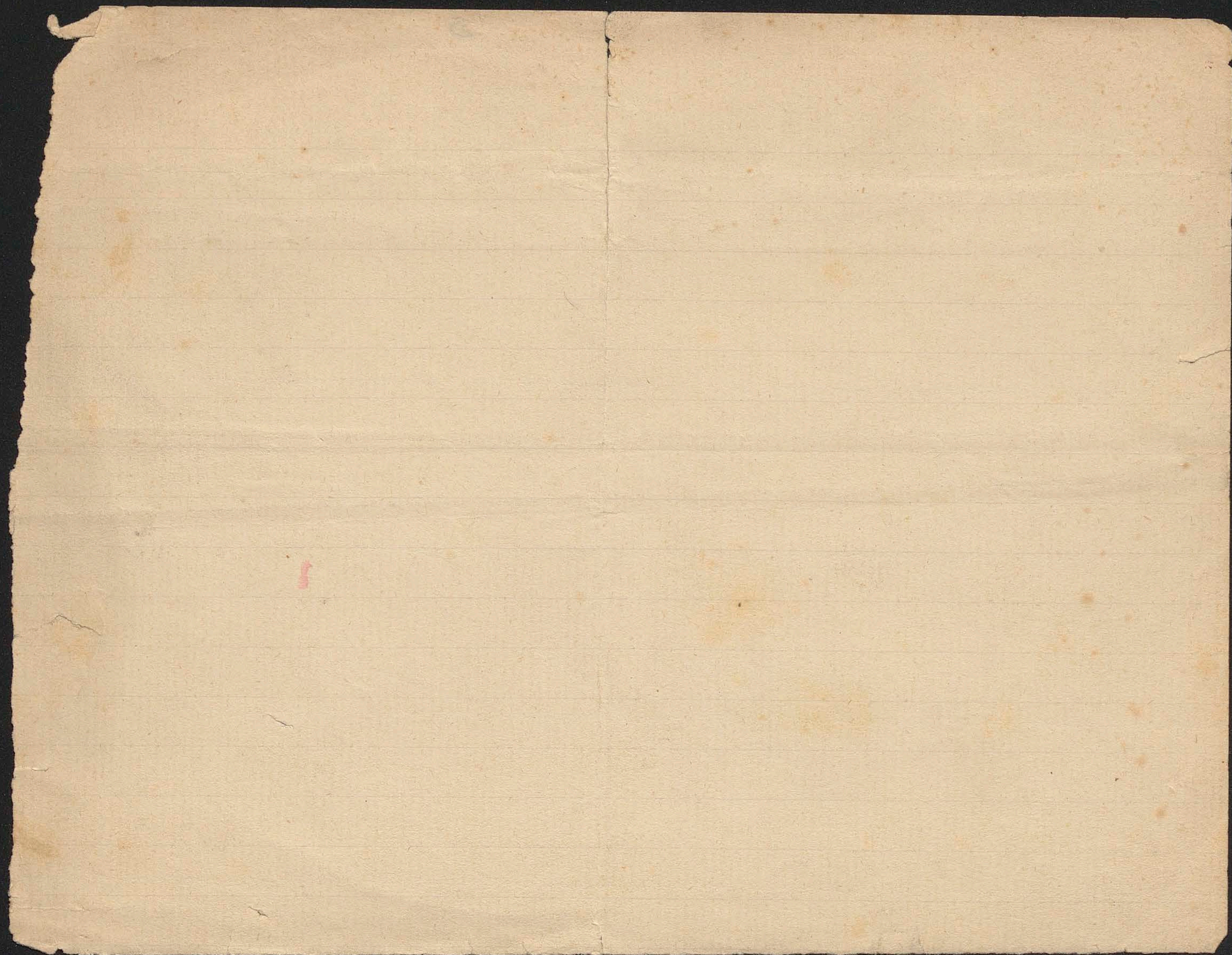
II

Mon cher confrère,

Vous me demandez quelques lignes pour la publication que vous vous proposez de faire paraître à Varsovie, sous le titre <u>Journal d'un Jour</u>, au bénéfice de la Caisse de secours des auteurs et des journalistes polonais.

Je vous les envoie de bien grand cœur, d'abord parce que je suis heureux de contribuer à une œuvre philanthropique destinée à venir en aide à des confrères peu fortunés, et aussi parce que rien ne pourrait m'être plus agréable que cette occasion que vous m'offrez d'envoyer un salut cordial à la noble nation polonaise qui fut pendant tant de siècles l'amie et l'alliée de la France.

Cette fraternité de nos deux peuples qui s'est perpétuée à travers tous les bouleversements de l'Histoire, personne chez nous ne l'a oubliée, soyez-en convaincu. On peut oublier, en effet, des rapprochements dictés par la force des circonstances ou par les nécessités diplomatiques: on



8

2

en France s'enrôlaient par milliers sous notre drapeau.

Quand la Fortune eût trahi nos armes, quelques voix courageuses s'élevèrent au sein du Reichstag impérial pour protester contre l'annexion de l'Alsace-Lorraine, et ces voix étaient celles des députés polonais.

La Pologne montrait ainsi qu'elle se souvenait du passé.

La France, de son côté, garde au meilleur de son cœur le souvenir de ces marques d'affection si touchantes de la nation qui fut vraiment pour elle la nation-sœur...

Croyez, mon cher confrère, à mes meilleurs sentiments, et veuillez transmettre ~~sa~~ mes fraternelles cordialités aux écrivains et aux journalistes polonais

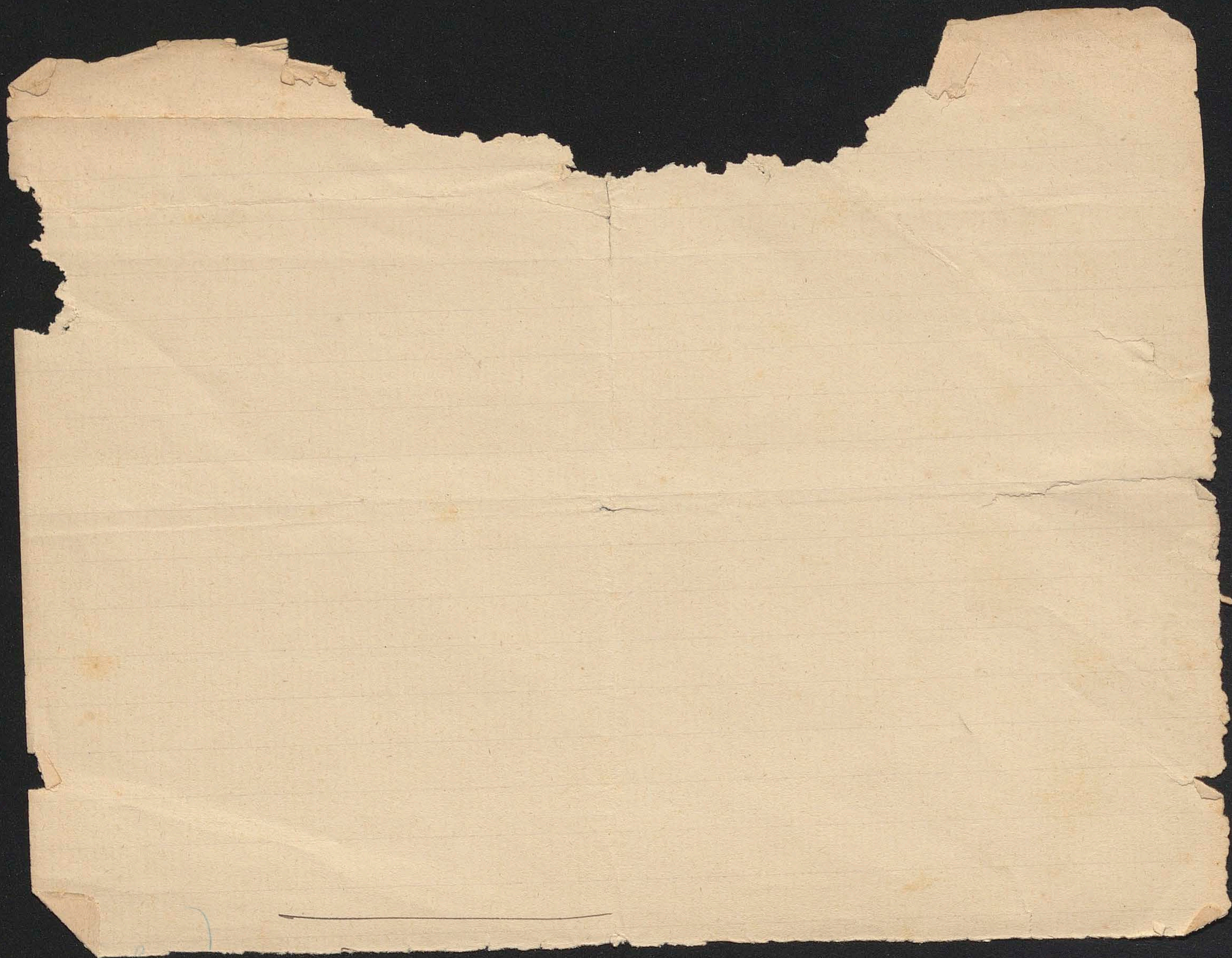
Edouard Drumont

Directeur de la Libre Parole

Député d'Alger

(Alger)

Ed. Drumont



Do p. Rafałowej Markowskiej

10

Paryż 28 Stycznia 1885

Szanowna i Łaskawa Pani -

Kilka dni temu otrzymałam list Szanownej pani i załączone do niego 50 fr. rocznych. Nazajutrz potem mieliśmy sesyę w Komitecie - ~~list~~ pieniądze zatem oddałam - i kwitka nie dostałam. Prezydentka nasza p-ni Montefiore przebywa obecnie w Londynie - Komitet zatem włożył na mnie jako na wiceprezydentkę obowiązek

aby w imieniu jego Rady złożono

Pani najszczersze podziękowanie za

trud poniesiony w sprzedaży biletów,

i w gotowości patriotycznej w sprawie

tak żywo obchodzącej naszą społeczność.

Sprawa jaką przyjęliśmy urządzenie

loteryi, obchodzi nie tylko wygnańców

zapewniając chleb i przytułek, bok

[illegible] starcom, jak i zdrowotnie

po smutnych przeciwnościach: obchodzi ona

cały naród. Stworzymy bowiem tuła-

[illegible] szkoły naszych, przez wychowanie

dziewcząt na wzory dla Matek -

polskiej, urozmaicęłyby stron kraju.—
Wszystkie jakie tam wyprawiono od
lat dwudziestu odznaczają się wzorowem
postępowaniem i zasadami uczciwemi;
jakich trudno byłoby znaleźć, w sprawiedliwych
na bory Francuzkach.— Powtarzamy
ręką ludzi przekonaniem, że takowe osoby
które popierają naszą loteryją — spełniają
czyn patryotyczny.—

Ciągnienie loteryi, nie odbędzie się przed
jak wiosną przyszłym —, mamy bowiem do
rozprzedania 600,000 biletów. Umowa
ale rozesłaliśmy po wszystkich krajach Europy-
się nawet w Indyi i w Ameryce.—

Pieniądze jakie wpływają do Komitetu z
składane są natychmiast do banku. –
Chrześcijanie dali ks. biskupowi pokaźnie
[illegible] sumę; ale mają same sobie wydatków
tyle i nie oglądną się na większą potrzebę. –
Zakład [illegible] do uczynienia stokilku-
dziesięciu osób, wymaga droższej przestrzeni
wymaga ogromnych wydatków. –

Przed tygodniem dopiero wróciłam z Brukseli
gdzie byłam obecnie przez dwa ~~tygodnie~~ miesiące. Zostaje
[illegible] [illegible] się [illegible] [illegible]
[illegible] polskiej dobry pomieszczenie [illegible]
[illegible] [illegible] wychodzi ale o dobór [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] się
[illegible]; gdzie [illegible] wychowałyśmy swoje pra-
[illegible], [illegible] [illegible] nie [illegible]. W każdym razie
nie [illegible] się [illegible] – [illegible] nie przyspieszam.
F

Do p. Rafałowej Maszkowskiej

12

8 Grudnia 1897.

Do
Józefy z Łoweckich
Rafałowej Maszkowskiej

Szanowna i najłaskawsza Pani.

Nareszcie niespodziewanie z prawdziwą
wdzięcznością otrzymałam list i zdjęcie
Pani mojej. Miłe spokojne rysy
Pani w kościele mi nigdy nie
wyjdą z pamięci – przebacz mi droga
Pani że pod koniec listu, bo gdy
nie skończę – nie mogłam dobrze

jej domu — [illegible] [illegible] [illegible] tak

smutna — i tak [illegible] zdziwiona

[illegible] [illegible] [illegible]

na innej [illegible] [illegible] i nie

podobnymi [illegible] oblicze [illegible] [illegible],

i innymi [illegible] potrzeba [illegible] [illegible].

[illegible] [illegible] i mi [illegible] droga

pani przebaczyła — i [illegible] [illegible]

jej [illegible].

Zostawiam tylko [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] jedynego [illegible] pani [illegible]

wielkiego Boga słowa na początku
i chluby zacnych rodziców.
W tak krótkim nie bawiłam jużci
w Karlsbadzie - i nie miałam
sposobności spotkać się z panią
Gorską. Przyczyny dziwię, ale ona
poczuwa się obcą rzeczą - tak i prędko
musiałam - Mimo jakoś dzięki Bogu
zdrowie lepiej stoi - i pozwala mi
dziś pracować na obranem polu
Matkę ja wasze przyjmuję

do tego prac czyli z upokorzeniem

że współrodacy moi przeciwstawią ją

pod ścianę. Czynią to wprawdzie

serdecznie w twej ojczyźnie ale to

nie jest zasługą. To szczęście posiadania

którego zaniedbywać nie wolno.

Dziękując jeszcze drogi Panie

za tak zaszczytną o mnie pamięć,

z szczerem uszanowaniem łączę

wyrazy najwyższego dla Niego szacunku

i prawdziwej wdzięczności oddany

[illegible]

Ja będę psem.

Bezczelny wrogu! głoś że niewieści
Utkwił jak żądło w sumieniu twem!
W szalonym gniewie na znak bezcześci
Za moje pieśni ty zwiesz mnie psem!

Nie tak Trubadur pyszniał się hardy
Gdy zbierał złoto za dźwięk swych dum;
Nie tak się stare chełpiły Bardy,
Gdy im pod stopy słał wieńce tłum.

Nie tak się chlubił Mistrz w dzień trwogi
Gdy Kapitolu przekraczał próg,
Jak ja się chlubię kiedy mi w nogi
Plunął z niewagą mój ziemi wróg;

Tak, psem ja będę, tym psem ~~swo~~ ze smyczy.
Co na głos trąbki bez sił, bez tchu,

Goni kudłacza, skomle, skowyczy,
Aż łowiec ozwie się, w gardziel utkwi mu!

Tak, psem ja będę, psem z onej sfory
Jakich już Polska wydała moc,
Co zwietrzy wilka gdy wdziera obory,
Potyka się w czarnej zakradni noc.

Tak psem ja będę, psem, co swych śmieci
Pilnuje wiernie u progu chat,
Co pod kurzawą i wśród zamieci,
Zmrożon do kości, nie zejdzie z czat.

Tak, psem ja będę na swym barłogu,
Północ mi oczu, nie zmrozy snem.
Wara złodziejom!.. wara od progu
Bo zszarpię w kęsy!.. tak! będę psem!

Seweryna Duchińska

w Paryżu

15

Photographie
DES ÉCOLES

Maison de confiance fondée en 1840

ANCIENNE MAISON

BLANC

THEVENET Succ.r

11. Rue de Buci, 11.

PARIS

[illegible] Пашѣ
[illegible]
на память
[illegible]
[illegible]
[illegible]
4 [illegible]
1885.



PHOTOGRAPHIE  DES ECOLES

11. RUE DE BUCI. A PARIS

Paryż dnia 17. XI. 1903 r.

73. Avenue de la République.

Szanowny Panie

Redaktorze!

Ślę prośbę gorącą o łaskawe polecenie wyprawienia dalszego druku „Smoleńców" — zapas już jest spo=ży — nad powieścią Kamieniem siedzę i do przer=wy nowej nie dopuszczę — wielce szkodnie przer=wałem. —

W przekonaniu, iż Szanowny Pan Redaktor nie odmówi mej prośbie — wyrazy rzetelnego po=ważania i szacunku łączę

Sługa powolny

Wacław Sieroszewski.

Ser. red. Wasilewski

Do Prof. Wł. Łuszczkiewicza

Wielmożny Panie —

— Będąc w Krakowie — przez nieprzeparte pragnienie — korzystać z pobytu tam — acz krótkiego — i przepędzić chwile w towarzystwie szanownego towarzysza wycieczki do Zgorzelca — dla mnie i miłem i pouczającem — Ale w ciągu godziny, kiedy przybyłem do Atelier był zamknięty — widziałem zatem i szkołę — pracownie młodych artystów — którzy pod kierownictwem Pana — z rokiem każdym tak widoczne robią postępy — śladem starszych co już ukończyli szkołę podnoszą się coraz to wyżej szczeble — a przesyłając na Wystawę swoje obrazy — dają

Jeśli

i talentu i dobrej sztuki świadectwo.

Wiem — przykra pora — nie dozwoliła mi już — odwiedzenia Pana na Sławkowskiej Ulicy — wbrew jednak po świętach będę w Krakowie — i prawdopodobnie dłużej zabawię wtenczas — obiecuję się — częstym być gościem.

Lato niemal całe — zeszło mi na włóczędze — Zaledwie co powróciłem z Karlsbadu pospieszyłem do Wiednia na powitanie żony i dzieci wracających z Włoch. — w Krakowie już — córka moja ostatnia zaręcza się w Wiedniu — i w Krakowie

zmuszony byłem zatrzymać się w mieście – i wiatem 3 tygodnie niepokoju – o mię – iż trudno mi przychodziło zająć się – sprawą naszej ptakowiedzy, niemając tej swobodnej tak potrzebnej – do tego chwili.

Sądzę – że podanie moje do Wydziału krajowego odesłane już do Lwowa – czekam na odpowiedź, i otrzymuję się, że stworzeniem mojej Relacyi – Oddziału Ornitologii, otrzymuje już dla tegoż przyrzeczenie o wcielenie mojego podania zarazem dać wiadomości.

Dotkniętym tego przedmiotu

pozwalam sobie dla tak wielkiej
wdzięczności za podane mi
wskazówki i uwagi — co do
ortografii Szwedzkiej — z których
w mojem podaniu do wydania
nie omieszkałem skorzystać.

Ponawiam wyrazy
najwyższego szacunku
jako Wpana

prawdziwy sługa
Gorczyński

21/12 870

Adam Gorczyński
autor powieści Jadama — Legend wierszowanych — tłumacz Schillera i t. p.

Szanowna Pani!

Dwa tygodnie temu posłałem moje notatki z wycieczki do Włoch pod tytułem: „Noc na morzu" do tąd nie otrzymałem ani słówka odpowiedzi ... cóż to? Upraszając o parę wyrazów odpowiedzi, lub o odesłanie rękopisu kreślę się z głębokim szacunkiem

M. Żarocki

adres Wilno ul. Zamkowa 23 dom Kapituły



ОТКРЫТОЕ ПИСЬМО



Варшава

Warszawa

ul. Marszałkowska 116

Wielmożna Pani Redaktorka

Chętnowska

„Tygodnik Polski"

На этой сторонѣ пишется только адресъ.

Do kogo?



Kto to?
Zygm. Kaczk

Paryż, 23. Kwietnia, 1883.

Szanowny Panie!

Ponieważ broszurowanie „Teki Nieczui" 8–10 dni czasu zabierze a wyrobienie sobie zdania o xiążce, która najdelikatniejszych materyi dotyka, także pewnego czasu wymaga, więc posłano Panu wczoraj kilkanaście arkuszy odbitków, z których Pan tem łatwiej będzie mógł powziąć zdanie o sprzedajności xiążki, ile że naturalnie i brakująca reszta pisana jest w tym samym tonie. Całość obejmuje 19 arkuszy pełnych. Kartka tytułowa będzie okazalszą niżeli w odbitce. Odbito cokolwiek więcej nad 3000 egzemplarzy, bo trzeba było coś odliczyć na brakí. Mówiąc w cyfrach okrągłych, rachunek się stawia jak następuje:

/.

Na podarunki trzeba odliczyć około 100 egzemplarzy, na kraje zagraniczne po za obrębem ziem polskich i Wiednia około 400; przypuściwszy też, że wszystkich egzemplarzy będzie 3000, byłoby do sprzedania 2500 do 2600. Te mogą być sprzedane ryczałtem albo partyami, ale w każdym razie tylko za gotówkę, bo druk i korekta drogo kosztowały. Cena księgarska jest 5 franków. Warunki sprzedaży byłyby następujące: kto weźmie wszystko, ten zapłaci po franków 2.50 w złocie za egzemplarz, kto kupi część, lecz najmniej 100, ten zapłaci po franków 3. O koszta przesyłki trzeba się umówić osobno, bo to zależy od tego, czy egzemplarze mają być przesłane par la grande ou par la petite vitesse, albo też pocztą. Dotychczas zgłosił się tylko Żupański, który, o ile się zdaje, chce kupić cały nakład. Odpowiedziano mu to samo, co stoi powyżej. Zamiarom nakładcy nie odpowiadałoby wcale sprzedać cały nakład w Poznańskie, chciałby jednak, aby tam poszło paręset egzemplarzy. Natomiast zaś życzyłby sobie, aby posłano do Lwo-

wa przynajmniej 1000 egzemplarzy, bo książka ta tam znajdzie najwięcej czytelników. Byłoby mi także bardzo przyjemnem, gdyby można jakoś dwa exemplarze przemycić do Królestwa; powiadam przemycić, bo o przeprowadzeniu przez cenzurę ani myśleć nie można.

Otóż wszystko, co Panu o tej sprawie mogę powiedzieć na teraz. Jak tylko broszurowanie zostanie zaczęte, poszlę Panu natychmiast kilka egzemplarzy pod przepaską – a wtedy postąpisz według swego rozumienia.

Pełen uszanowania i życzliwości

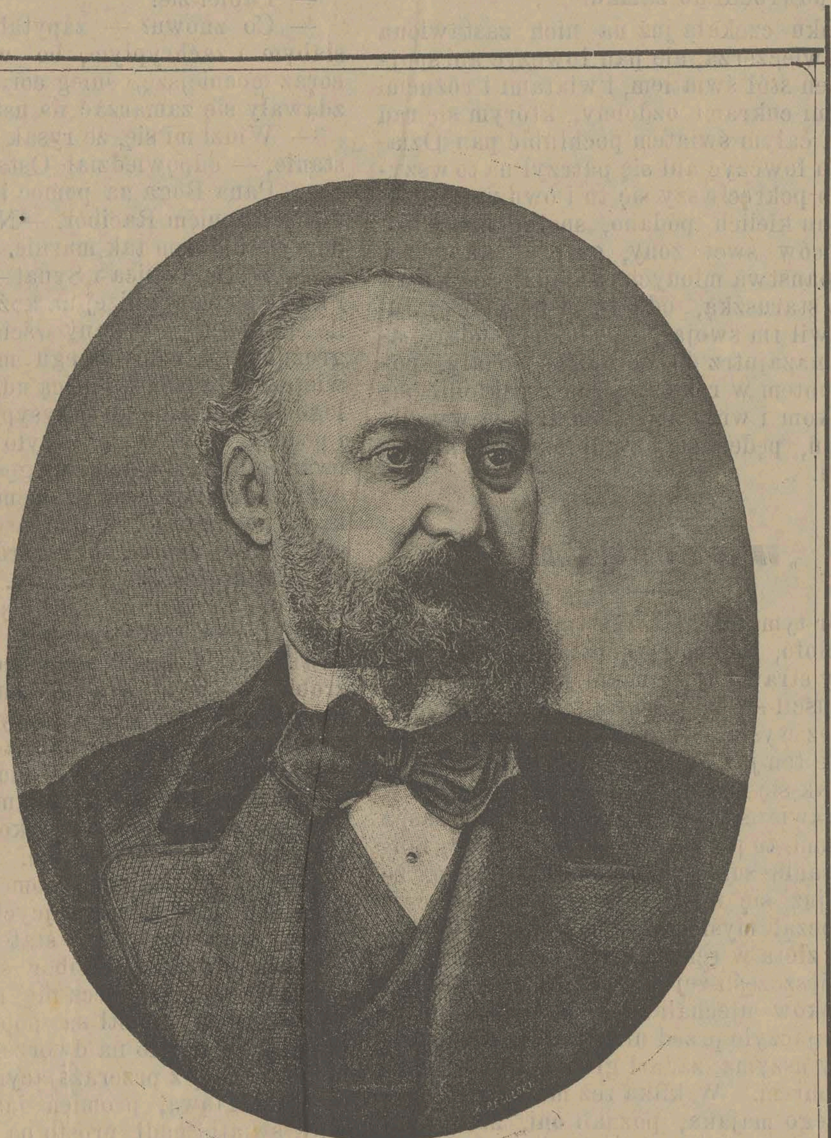
Matlakowski

Dodatek illustrowany do Nr. 215 „WIEKU“.

* * *

„Exegi monumentum aere perennius...“

Od słów tych wypada nam rozpocząć, gdy z „trwalszego od miedzi“ pomnika Zygmunta Kaczkowskiego zamierzamy odsłonić przed Wami kilka fragmentów i odświeżyć w pamięci Waszej jego dzieła. Z wielkiej skarbnicy myśli i obrazów zaczerpnęliśmy tylko garść skromną. Sądzimy jednak, że ona lepiej od wszelkich wspomnień zarysuje w pamięci czytelników naszych postać znakomitego pisarza. Dziś osnute w żałobne wieńce, kir i krepę fragmenty owe tem silniej przemówić powinny do wyobraźni, która obrazy owe wydobędzie wypuklej i barwy ich przymgli lub rozjaśni. Oto więc „Sodalis Marianus“ — towarzysz Maryi, śni przed obrazem Matki Przenajświętszej; oto scena porwania z „Murdelio-na“, pełna rozmachu zawadyackiego; oto obrazek rodzajowy godów weselnych z „Braci ślubnych“, oto wreszcie groźny obraz śnieżycy z „Wnucząt“... Wraz z portretem zmarłego pisarza wiązankę te ofiarujemy naszym czytelnikom, jako przypomnienie i pamiątkę żałobną.



Ś. p. Zygmunt Kaczkowski.

„SODALIS MARIANUS.“

Za chwilę potem lampka oliwna zagasła—a śród ciemności cisza zaległa komnatę...

Ale jemu się zdało, jakoby było jasno koło niego. I widział jawnie, że się znajduje w kościele, w którym po obu stronach przy ścianach stały szeregiem marmurowe grobowce Sieniawskich: grobowce czarne, czerwone i białe, a na nich wiekach wspaniałe, wzniosłe, czcią przejmujące posągi. Ten kościół zna on, jak swoją własną komnatę: ale tak jeszcze go nigdy nie widział. Albowiem teraz noc była, a od rotundy sklepienia spuszczał się siedmioramienny kaganiec, który silnie czerwone rzucając światło, napełniał kościół jakąś atmosferą niezmierną. Wspaniałe to były blaski, ale groźne zarazem, — jasne to światło, ale gorące, odurzające, piekielne. I była cisza jeszcze w tej chwili, ale czuć było w tej ciszy jakoby szmer jakiś podziemny, jakąś woń zagrobową, jakby poprzedzającą zbliżanie się duchów, oddawna niemieszkających na ziemi. Jerzy to czuł i był pełen przerażającej trwogi. Wiedział on o tem, iż przyszedł tutaj, ażeby uklęknąć przed ołtarzem z Zosią, ale teraz dopiero przeczuł, jacy to goście weselni mają być na tej uroczystości przytomni! Jakoż istotnie za małą chwilę silny wichr zawiał przez kościół, zadrżały marmurowe grobowce, a na środku kościoła zaczęli się jawić starożytni rycerze, starcy poważni w deliach, młodzieńcy w strojach hiszpańskich, francuskich, włoskich, matrony w sztywnych robronach, niewiasty młode w aksamitnych kaftanach, długich sukniach jedwabnych i czubach. Widok tych twarzy, na pozór żywych, a przecież tak śmiertelnie wybladłych, tych oczu, niby błyszczących, ale jakiemiś dziwnie strasznemi blaskami, tych całych postaci zresztą, ruszających się, stąpających po ziemi, a przecież jakoby bez krwi i ciała, przejął go takiem drżeniem wewnętrznem, że się zachwiał na nogach, rękę do czoła przyłożył i sam nie wiedział, ma li iść naprzód, albo we drzwi uderzyć i zniknąć. Już tam pomiędzy tymi weselnikami z za grobów stała cała rodzina Sieniawskich, już hetman sam kłaniał mu się z ich środka i ręką zapraszał ku sobie, już Zosia stała u jego boku wystrojona w kwiaty i kwefy weselne, już nawet ołtarz zapłonął światłami, biskup stał przy ołtarzu i z chóru odezwały się w kilka tonów organy, a on jeszcze się wahał i chwiał się, patrząc przed siebie grozą napełnionemi oczyma. Nareszcie wstrząsł się, zrobił krok jeden i drugi, lecz nagle stanął. Jakiś przedmiot uderzył go z boku tak silnie, że się musiał zatrzymać. Obrócił się ku tej stronie, przypatrzył się bliżej—i dziwna rzecz, co tam obaczył. Sciana kościoła z tej strony całkowicie wypadła i było widać w tem miejscu ogromną przestrzeń, niknącą w dali. Przestrzeń ta była zalana jakby mgłą przedświtową, czuć było rzeźwe poranne powietrze, a w dali niebo się rumieniło, jakoby pochód jakiegoś wojska, jakby zalatujący zdaleka szczęk broni, parskanie koni, wianie sztandarów w powietrzu. Jerzy rozpatrzył się jeszcze bliżej i ujrzał najpierw występujące dwie jak najlepiej sobie znajome postacie. Był to rotmistrz Piotr Wiszowaty i jego nieodstępny przyjaciel, tak zwany Murza tatarski. Obadwa mieli burki kudłate na sobie, czapki konfederackie na głowach i szabliska u boku, byli widocznie zmęczeni i uznojeni, jakoby po jakimś trudzie [illegible], ale stali tak prosto i sztywnie, jakoby teraz dopiero co zostąpili z grobów. Jednakże, obaczywszy Jerzego oczy obrócone ku sobie, podnieśli razem swoje prawice, grożąc mu niemi po kilka razy w powietrzu. Widząc to, Jerzy zadrżał i osłupiał na chwilę, ale wtem rotmistrz zaprzestał grozić, a wtomiast wskazał mu ręką we mgłę. Jerzy poszedł oczyma za jego ręką i jeszcze daleko dziwniejszą rzecz tam obaczył. Albowiem już się te mgły poranne przerzedziły cokolwiek, a z nich wystąpił cały pułk Sodalisów, zbity w silny czworobok i ubrany tak, jakby był gotów do marszu. Nad błyszczącemi bagnetami szeregów powiewał sztandar z obrazem Matki Najświętszej, a przed frontem stał koń osiodłany, którego za cugle trzymał sam własną ręką Polewka. Widok ten, na którego ostatniem tle coraz jaśniej rumieniło się niebo, obiecując za lada chwilę wschód słońca, tak pochwycił młodzieńca za serce, że już się rzucił ku niemu i zrobił jeden krok naprzód, ale w ten moment znów się zatrzymał. Zdawało się, jakby go owe czerwone światło zawiało, odurzyło mu zmysły i zamieniło go w posąg kamienny. Jednakże właśnie w tej chwili Polewka z koniem ustąpił na bok, pułk Sodalisów rozpruł się środkiem na dwie połowy i otworzył jakoby szpaler przejrzysty. Jerzy spojrzał w ten szpaler i obaczył tam dwie całkiem nowe postacie. Mąż jakiś dosyć sędziwy prowadził za rękę jakąś postać niewieścią i postępował wolnym krokiem ku niemu. Mąż ten miał kontusz i żupan na sobie jak wszyscy, ale twarz miał dziwnie zapadłą i wynędzniałą, a do tego ranę otwartą w piersi, z której krew się lała strumieniem, brocząc czerwonemi plamami jego poważne szaty. Niewiasta była ubrana w bieli i miała wieniec zielony na głowie: cyprys czy mirty? nie można było rozpoznać.

Była wszakże tak piękną i tak błyszczała w całej pełni rozkwitłą, zachwycającą urodą, że mogła raczej samą śmierć zbudzić i powrócić do życia, niżeli wnosić na ziemię chociażby tylko wspomnienie grobów. Tak szli oboje wprost na Jerzego, a kiedy starzec wyciągnął rękę ku niemu, jakoby mu chciał podać szkaplerzyk, który w niej trzymał, mgły się już całkiem rozstąpiły nad nimi i słońce wzeszło na niebie, rozsypując całe bogactwo swych blasków po ziemi... Obaczywszy te dwie postacie w promieniach słońca, poznał je Jerzy natychmiast: był to jego ojciec nieboszczyk i zapomniana przez niego Kostusia. Jakoż, jak gdyby jakaś nadziemska siła nim zawładnęła, rzucił się zaraz ku nim, pochwycił szkaplerz ojcowski i upadł w jego objęcia...

I rzucił się tak gwałtownie i silnie, że te wszystkie straszliwe widzenia zniknęły nagle z przed jego oczu, jak gdyby się w ziemię zapadły, a on stał na środku komnaty, był tak samo ubrany jak wczoraj, tylko w swej ręce, konwulsyjnie ściśniętej, trzymał swój własny, zawsze na piersiach noszony szkaplerzyk. Rozejrzał się koło siebie: była to jego własna komnata, dzień już był wielki, a jasne słońce [illegible] ujrzał przed sobą wiernego Polewkę, który przed małą chwilką wbiegł do komnaty, zatrzymał się niedaleko ode drzwi i patrzył na niego dziwnie wystraszonemi oczyma.

— Czego ty chcesz, mój Polewka?—zapytał Jerzy.

— Panie generale! — rzekł tenże — co panu? wmpan spałeś przez cały ranek pod obrazem Matki Najświętszej, a teraz się zerwałeś tak nagle, jak gdyby cię żmija ujadła?...

„MURDELIO“.

Tedy za radą Gintowta przebrałem się w kontusz i żupan, który na mnie ciężył i gniótł mnie jak pancerz; wlazłem w hajdawery tak wielkie, żebym mieszkać mógł był w nich i podzielić je na pokoje; włożyłem czapkę na głowę, uzbroiłem się w cierpliwość i pokorę, wsiadłem na koń i pojechałem do pana Wita. Wszedłszy do izby, stanąłem przy drzwiach i pokłoniwszy się panu stryjowi do kolan, przepraszałem za to, że obyczajami zagranicznemi zepsuty, za moją pierwszą bytnością u niego nie umiałem się znaleźć tak, jak na przyzwoitego młodzieńca w kraju przystało. Pan Wit się na mnie popatrzył, rozparł się w boki, nadął się jak pęcherz i powiedział mi srogie kazanie. Ale ja już byłem najpokorniejszym sługą stryjaszka dobrodzieja. Przyszła panna, zarumieniła się, niewiele mówiła, ale była śliczna jak anioł. Bawiłem się tam przez dwie godzin i musiałem się nieźle sprawować, bo stryjaszek dobrodziej rzekł mi przy pożegnaniu: — Widzisz waść, mosanie! i ja umiem po francusku i po niemiecku, umiem po łacinie, czego ty nie umiesz, mam to samo nazwisko i ten kleinot co ty, i fortuna moja mi tak dobrze a może jeszcze lepiej wystarcza jak tobie; mam nadto jeszcze siwiznę i niemałe zasługi w swoim, ba! i w obcych krajach, czego ty nie masz i może zgoła nigdy mieć nie będziesz—a przecie ludźmi uczciwymi nie pomiatam i znam respekt dla starszych! — To rzekłszy, pożegnał mnie.

Odtąd bywałem tam często, prawie dwa razy na tydzień. A trzeba wam wiedzieć, że ja dotychczas nigdzie nie bywałem i z nikim nie żyłem; wieść więc o mojem bywaniu u pana Wita runęła piorunem na okolicę; powiedziano, że konkuruje o jego córkę, że się już żenię. To mnie gniewało. Postanowiłem koniec położyć tym plotkom. A ponieważ uważałem, że mi panna niekrzywa, jako że i pan Wit dosyć ku mnie skłoniony, więc kazałem sześć koni założyć do karety, wziąłem Gintowta i dwudziestu kozaków z sobą i pojechałem z przedsięwzięciem zrobienia deklaracyi i wzięcia ślubu natychmiast. Kiedym wszedł do izby, pyta mnie stary:—Dla czegóż waść tak paradnie? — Ponieważ ja nie umiałem jeszcze dobrze po polsku, ani nie znałem na dziwnie pięknych retoryki polskiej figurach, więc Gintowt, począwszy od tego jak Pan Bóg rodzaj ludzki w arce Noego od potopu wybawił, uciął mowę sążnistą i skończył na tem, że ja proszę o rękę pana Wita córeczki. Pan Wit tego pięknie wysłuchał, wąs poprawił, czupryne pogładził, lewą rękę za pas włożył, a prawą gestykulując do mnie i do pana Gintowta, odciął znowu kubek w kubek takuteńką oracyą i ani jednego słowa nie został mi dłużen. Bardzo to ładny obyczaj. Treść atoli tej mowy była taka, że lubo on wcale nie miałby nic przeciw temu maryażowi, i owszem, widzi w nim palec Boży, który zagładza familijne krzywdy i niezgody, jednakże zamało jeszcze zna kawalera, żeby mógł dziecko swoje powierzyć. Niech kawaler, prócz panem, stara się być także sąsiadem i obywatelem, niechaj mnie słucha, niech mi się aplikuje, niechaj bywa w moim domu, aby się dzieci przyzwyczaiły do siebie, to się może i zrobi. — Pan Gintowt wyraził panu stryjowi moję niecierpliwość, moją bytność u króla, jego łaski i tak dalej, ale pan stryj odpowiedział na to, że od jego dekretu nie ma apelacyi żadnej, bo on jest sam grodem i ziemstwem i trybunałem i królem w tej sprawie.

Kiedyśmy odjeżdżali, powiedziałem Gintowtowi: — Ej! co tam będę się dał za nos wodzić szlachcicowi! zajazd zrobię i pannę zabiorę. — Gintowt radził cierpliwość i prosił o zwłokę jeszcze na kilka miesięcy. Przystałem. Bywałem znów w domu pana Wita. Aplikowałem mu się, ale jednakże więcej pannie, która już swojej miłości nie taiła przede mną. I znów trwało to kilka miesięcy; pan Wit stawał się coraz nudniejszy, coraz więcej wymagający, począł mnie egzaminować o moje interesa, o gospodarstwo, o inne sprawy, począł dawać rady swoje, ba! dyspozycye... ja się ciągle aplikowałem. Ale nakoniec i sam dyabeł utraci cierpliwość! jednego wieczora wypaliłem mu taką replikę, że szlachcic zgłupiał z kretesem. — Bunt, mospanie! bunt przeciwko mnie podnosisz!—zawołał on do mnie,—tym razem daruję, ale na drugi raz... pamiętaj!—Na drugi raz ja już buntu nie podnosiłem, ale stała się rzecz taka: Kiedym tam przyjeżdżał, bywało zwykle, żem najpierwej ze starym rozmawiał z jaką godzinę, potem zaś szedłem do panny i siedział tam do wieczora. Stary wtedy czytywał gazetę albo do gospodarstwa wychodził, i do córki prawie nie zaglądał, bo tam była jakaś szlachcianka, która sprawowała urząd ochmistrzyni i posiadała zupełne zaufanie u niego. Ochmistrzyni atoli, co nie zrobiła za dukata, to zrobiła za dwa, co nie za dwa, to za dziesięć, co nie za dziesięć, to za sto, dosyć że nigdy tam nie było ochmistrzyni. Otóż jednego dnia siedzę ja na kanapie i trzymając pannę na kolanach, w twarz ją całuję, ale jakem Piotrowicz, to nie w żadnej złej myśli, tylko tak dla zabawki; wtem wchodzi stary.

Panna struchlała na miejscu, ale jam się roześmiał w głos. Nie za całowanie ale za śmiech ten stary zrobił scenę gwałtowną Kpał mnie jak żaka, jak szewca, jak hultaja nakoniec. Tego było mi już nadto. Rzuciłem się na niego, chciałem go porwać, związać, wziąć w jasyr do siebie i dopiero traktować o wykupno albo zamianę jeńca, ale zwinny szlachcic odskoczył i w tym momencie taki mi wyciął policzek, żem upadł na ziemię. Zebrawszy się, chciałem porwać za broń, ale nie miałem pałasza przy boku. W tejże chwili otworzyły się [illegible] łość do starca. — Dostaniesz sto bizunów! — zawołał tenże. — Mości panie! — krzyknąłem — taki to sposób wetowania krzywdy u polskiego szlachcica! takie poszanowanie gościnności w tym kraju! — A ty jakże gościnność szanujesz! — odkrzyknął starzec. —Ruszajże sobie do stu milionów dyabłów i niech tu noga twojn więcej nie postoi, bo nie sto bizunów ci dać, ale powiesić cię każę na suchej wierzbie! — Ja przecież nie dowierzałem tej kapitulacyi, tylko czemprędzej obróciwszy się twarzą do okna, skoczyłem przez nie w ogródek, z ogródka pod bramę, gdzie mój koń stał przy kozaku... i uciekłem do domu. I z tego zrobiła się plotka, bo ci drągale powiedzieli, żem nie skoczył przez okno, tylko w kąt izby, tam w myszą dziurę wpadłem, z której za mną tylko dymu kłęb ze smoły i siarki wyleciał i rozszedł się po izbie... i cała okolica uwierzyła tej baśni.

Wróciwszy do zamku, nie było już dla mnie ani snu, ani nocy, ani jadła, ani napoju. Wszystko się gotowało we mnie, drżałem, trzęsłem się cały. Duma obrażona warczała we mnie jak pies rozdrażniony, złość się pieniła, miłość się wzmogła i targała całem wnętrzem mej duszy. Postanowiłem mścić się na starcu, piekielnie mścić i do śmierci; postanowiłem pannę zabrać, posiąść, zadośćuczynić mym żądzom i przez córkę mścić się jeszcze na ojcu. Jednakże w tem delirium gorączki, żądz, zemsty, złości, miałem chwile, w którym cichy i nieznany mi dotąd, spokojny głos serca odzywał się we mnie. Chciałem wtedy upaść do nóg obrażonemu i rozgniewanemu starcowi: pokornie prosić o rękę panny, ożenić się z nią, pogasić wszelkie gwałtowne ognie, poprzytłumiać szaleństwa, osiąść w domu, oddać się pracy, służbie jakiej dla kraju i stać się takim człowiekiem jak inni, jak wszyscy. Był to głos, który dawał jawne świadectwo słabości ducha mojego, był mi przeto nudny, nieznośny ale zarazem tyle silny jeszcze, że pomimo wszystkich planów moich ukartowanej już zemsty, musiałem przynajmniej spróbować jemu zadość uczynić.

W tym celu i duchu napisałem list do pana Wita i odesłałem go przez dworzanina. Pan Wit list odebrał, potem ławę kazał położyć na ziemi, dworzanina na ławę, list na dworzaninie, a na liście odpisał wymowną stu bizunami odpowiedź.

Po odebraniu tej odpowiedzi, w jednym oka mgnieniu już byłem na koniu na czele uzbrojonych pięćdziesięciu kozaków. O zachodzie słońca popędziłem do wsi pana Wita. Kozaków zostawiwszy opodal, sam podjechałem o kilkadziesiąt kroków pod bramę. Trząsłem się cały, wnętrzności darły się we mnie, paliło mi się w mózgu, iskry dymem wylatywały mi z gęby i nozdrzów. Czułem, że dyabeł z całą swoją mocą był we mnie. Gdybym był zaraz uderzył, byłbym mur chiński w gruzy powalił, ale ja chciałem dwór jeszcze obaczyć, jego widokiem gładkim się jeszcze rozjątrzyć, abym tem silniej i zapalczywiej uderzył i tem większą potem miał radość, patrząc na jego ruinę. Patrzyłem więc. I z szatańskim w mej duszy uśmiechem patrzyłem na ów dworek drewniany, jak śnieg bieluteńki, z również białym ganeczkiem o czterech słupkach, na którego czele przybita była Matka Boska Ostrobramska, która ze łzami w oczach i z uśmiechem na licu patrzyła na zielony przed gankiem wyciągnięty dziedziniec, na którym w środku trzy lipy stały z darniowemi ławkami i kamiennym stolikiem pomiędzy sobą. Na dziedzińcu igrały dworskie dzieci ziarnem, którego dość tam było, a gołębie, siedząc trzema wieńcami na lipach, zlatywały na dzieci i pokarmiwszy się z rąk ich pszenicą, nazad podlatywały, siadając każdy na swoje miejsce, aby się wieniec który nie rozerwał. Bzy kwitły natenczas i głogi się rozwijały, przechylając się kwieciem swojem przez płoty, którerni był ogrodzony dziedziniec; trzódki wracały z pola i dzwoniły zdaleka, fletnia się odzywała z za lasu, powietrze pełne woni cudownej rozściełało się dookoła, a słońce, chowając się za góry, ostatnie promienie swoje posyłało na lipy, na dwór i i dziedziniec. Cha, cha, cha! jak to pięknie było! istna bukolika!... Stałem na koniu za krzaczkami bzu i wina schowany, i patrzyłem, i cieszyłem się, że tu tyle szczęścia, tyle spokoju, tyle niewinnej piękności... i szatan cieszył się we mnie, że to wszystko jest w moich ręku, że nad tem wszystkiem wisi zemsta moja, i że za chwilę z tego wszystkiego będzie tylko to, co ja chcę... kropla krwi i garść popiołu!... Kiedy tak myślę i różne ognie warzą się w mojej głowie i sercu, i kiedy już tylko co mam uderzyć, dał się słyszeć dzwonek z niedalekiego kościołka, wołający na Anioł Pański. Zaśmiałem się. Zdawało mi się bowiem, jakby który z moich kozaków zakradł się do dzwonnicy i sygnaturkę dla konających poruszył. Niebawem jednak ruch się zrobił w dworku, ruch niewielki w dziedzińcu. Gromadka ludzi różnej płci i różnego wieku, pomiędzy nią dzieci nawet, a na ich czele pan Wit z córeczką, wyszła w dziedziniec i ukląknąwszy przed gankiem i obrazem, poczęła się modlić z wielką pokorą. Na ten widok coś mnie zapiekło w sercu, mróz poszedł po ciele. Oniemiałem, ręce i nogi poczęły mi drętwieć, namiętności kładły się jedna po drugiej. A kiedy drugi raz tenże dzwonek się odezwał, mimowolnie skręciłem koniem i w milczeniu odjechałem ku moim kozakom. Milcząc, ze spuszczoną głową i nie wiem, o czem myślącą, przejechałem pomimo nich i puściłem się stępą drogą ku zamkowi wiodącą. Nie wiem, jak długo tak zamyślony jechałem, jednakże coś wkrótce mnie znowu piknęło, obudziłem się i zaśmiałem się sobie w oczy i z siebie. Potem wpakowałem koniowi ostrogę, zmieniłem front i kopnąłem się całym pędem napowrót do pana Wita. Z całą bandą moją stanąłem przed bramą. Teraz już wszystko wyglądało inaczej... był już wieczór natenczas... słońce już zaszło było... ziemia siniała... księżyc wyszedł na niebo i w lisią czapkę zawinięty, wróżył świętojankę... czeladka wszystka już spała... okna były pootwierane w dworku... cisza była jak cmentarzu. Popatrzyłem jeszcze raz na ten dworek i szepnąwszy kozakom:—Starca i pannę żywcem na koń i do zamku! — uderzyłem i oskoczyłem dom cały. Co się tam gdzie działo po innych stronach, tego nie wiem; jam do pokoju wskoczył, w którym spała panna. Znalazłem ją rozebraną, przestraszoną, klęczącą na łóżku ze złożonemi rękoma. Kiedym wpadł do drzwi, całkiem czarno ubrany i z ogromnem czarnem piórem u kapelusza, nie wiem czy mnie poznała, czy nie, ale krzyknęła, padła i omdlała. Wtedy porwałem ją wpół, wskoczyłem na koń i popędziłem do zamku. W godzinę byłem już w domu. Panna moja przyszła do zmysłów, drżała jeszcze od strachu i przerażenia i długo milczała. Jednak w kilka godzin przemówiła, uspokoiła się trochę, dopytywała się o ojca, modliła się wiele ustawicznie. Po północy kozactwo moje wróciło. Zapewniali mnie wszyscy, że żaden z nich ojca ani widział na oko i że okrom trochy rabunku, nic się nikomu nie stało złego. To pannę uspokoiło jeszcze więcej, jednak nie mogła się ani patrzeć na mnie; o dawnej miłości swojej milczała, ciągle się troskała o ojca, ciągle jeszcze modliła. Ja ją wszelkiemi sposobami pocieszałem i uspokajałem, przyrzekałem że wszystko dla niej i jej ojca uczynię, że ją zrobię samowładną i nieograniczoną panią nad zamkiem, nad majątkiem moim, nade mną samym, i byłbym tego niezawodnie dotrzymał, bo krom niej nie było już nic innego w całem sercu i duszy mojej. Ona mnie słuchała, wierzyła i niedowierzała, i śród oddawanych mi pieszczot nieraz wzdrygała się przede mną. Jam zapomniał o świecie całym i od stóp do głów stałem się cały miłością.

Tak trwało dni kilkanaście. Śród nich atoli z przyczyny tego wypadku taki się rumor zrobił pomiędzy szlachtą okoliczną, że kilku dworzan moich, których dla szpiegostwa wyprawiałem w sąsiedztwa, coraz więcej zatrważające przywozili mi wieści. Szlachta się burzyła, odkazywała, psy na mnie wieszała, zbierała się i nad czemś radziła. Powiadano, że pan Wit chodzi od dworku do dworku, od zaścianku do zaścianku, że błaga, prosi, zaklina, beczki z winem i miodem stawia po miejscach publicznych i krucyatę na mnie zbiera. Jednego wieczora nawet dano mi znać, że już zamierzają napaść na zamek; postawiłem załogę pod bronią, sam całą noc czuwałem, ale nic nie było. Dnia następnego Gintowt, który przez cały ten czas milczał, przyszedł do mnie i żądał rozmowy na osobności. Kiedyśmy byli sami, rzekł mi: — Pan popełniłeś zbrodnię, *vim publicam, crimen*. Przyszedłem tedy ostrzedz pana, iżbyś rzecz tę w dobry sposób zakończył i przebłagać się starał słusznie zagniewanego ojca, a ostrzegam pana nietylko dla tego, że sprawka ta gardłem pachnie, ale i dla tego, że jeśli pan się z niej w jak najkrótszym czasie nie oczyścisz, to ani jeden uczciwy człowiek nie zostanie na pańskim dworze. — Ja Gintowta za takie gadanie wyrzuciłem za drzwi, ale pomimo to słowa jego dobrze mi uwięzły w pamięci. Jakoż tego wieczora, znudzony jeszcze naleganiami panny, abym jej ojca, jeżeli nie przywiózł do zamku, to przynajmniej odszukał koniecznie, i zachęcony jej obietnicami, że w takim razie uspokoi się całkiem i moją zostanie na wieki, wziąwszy kilku kozaków z sobą, pojechałem do dworku pana Wita. Dworek był, ale pana Wita nie było. Pytałem tam, pytałem wszędzie po drodze, nikt mi nic nie odpowiadał. Późnym wieczorem powróciłem do domu... i cóż powiecie na to?

Wjeżdżam do zamku, i już na samym wstępie uderza mnie to, że jakaś niezwyczajna cisza w dziedzińcu. Pytam, wołam, nigdzie nie masz nikogo. Z bijącem sercem i trzęsącemi od złości wargami zeskakuję z konia, wpadam do zamku, przebiegam wszystkie pokoje... nigdzie żywej istoty. Cisza, milczenie, pustka, jakby tu dżuma dopiero była i wszyscy na nią wymarli. Nie może mi się pomieścić w głowie, co to jest; jestem jak głupi, jak zaczarowany, snem mi się to wszystko wydaje. Wypadam na dziedzinie, przebiegam wszystkie kąty, wszystkie oficyny, gumna, stodoły, ogród, piwnice, ruiny... wszędzie ta sama cisza, taż sama głuchota i nigdzie ani żywej duszy. Kozacy, którzy jeździli ze mną na tę wycieczkę, powrócili i także niemniej zdziwieni poglądają po sobie, lecz milczą. Ze wściekłością prawie rzuciłem się na nich, pytając co to? Długo nic nie mówili, aż kiedym jednemu pistolet wymierzył do piersi, zawołał: — Powiem, panie!—Mówże!—krzyknąłem. — Pewnie pan Gintowt wykrdł pannę, — mówił kozak — i trochę kozaków zabrał z sobą, bo już od kilku dni nas burzył. Gintowt? — krzyknąłem ze wściekłością — o! poczekajże, wraży synu! kruki się się twojem ścierwem napasą!... I do północy rzecz się wyjaśniła. Istotnie tak było. Gintowt spisał moich kozaków przeciwko mnie i, pannę wykradłszy, uciekł. Reszta kozaków i innej służby, która mi wierną została, spostrzegłszy, co się stało, wsiadła na koń i popędziła za nimi, ale naprożno. Sto szlachty czekało na granicy wsi moich i porwawszy Gintowta z panną pomiędzy siebie, stawili czoło zamkowej pogoni. Pogoń ta uderzyła na nich, ale bez skutku; kilku z nich padło na miejscu, kilkunastu zaś ranionych i reszta zdrowych powróciła po północy do domu i o tym wypadku szczegółową mi zdała relacyą. Takim sposobem tyle usiłowań moich poszło na nic z kretesem!...

„BRACIA ŚLUBNI.“

Kiedy już wszyscy na swoich miejscach zasiedli przy drugim brzegu kobierca, oparty o tłum szlachty ciekawej, stał już stolnikowicz z łowczycem po lewej a z panem Błońskim po prawej swej stronie, — zrobił się nagle szmer między gośćmi, tłumy się rozsunęły i weszła wraz z drużkami i starościną panna młoda do tej komnaty. Była ona piękna jak zawsze, a dzisiaj przez wspaniałość ubioru i przejęcie się uroczystością chwili jeszcze piękniejszą, i miała coś tak wyniosłego i prawie imponującego w swej całej postaci, że już weszła i stanęła naprzeciw pana młodego, a on szmer podziwienia pomiędzy szlachtą jeszcze nie mógł ucichnąć. W krótkiej chwili atoli wystąpił z poza krzeseł kapelan, przysunął się do Barbarki i ujął ją delikatnie za rękę, spojrzał potem na rodziców, na gości, na stolnikowicza, a odchrząknąwszy i obróciwszy się wraz ku panu młodemu, zaczął swoję perorę w ten sens:

— Niechaj będzie pochwalony Pan Jezus.

Pan Błoński odpowiedział na to: — Na wieki wieków; — a kapelan tak zasie:

— Nizkiemu słudze znakomitego domu tego, a najniższemu w kościelnej hierarchii, powierzony jest mnie dostojny urząd oddawania panny oblubieńcowi. Akt ten razem z wieloma świętościami dawnego czasu idzie już dziś w poniewierkę i z każdym dniem coraz bar-

Z. Kaczkowski

dziej upada w dawnem swojem znaczeniu i wadze... a jako my sami z błogosławionych od Boga i duchem a sercem na wieczne zbawienie zarabiających rycerzy, staliśmy się ciałem grzesznem bez ducha, mięsem i trunkami żyjącem, tak i on obrzęd święty przyszedł do tego, że się stał wszędzie martwą li formą, z pustych słów uklejoną. Ale nie patrz ty na to, mój panie młody, co się dzieje na okół ciebie, nie patrz na złości i upodlenie tego wieku, a podnióśszy się duchem na one wysokości, na których stawali Gryffowie, patrz na spuszczającą się ku tobie Leliwę i słuchaj, co powiem. Oto jest dzisiaj dzień i ten moment, w którym dawno już uproszoną i przyrzeczoną do rąk własnych odbierasz upodobaną przez ciebie towarzyszkę przyszłego życia. Pannę samą, jako kwiat wiosny jaśniejącą wszystkiemi promieniami młodości i życia, oddają ci j. wielmożni tu przytomni rodzice i mówią przytem: Bierz, szanuj jak matkę, kochaj jak siostrę i prowadź jak dziecko twe własne przez przepaściste drogi tego ziemskiego życia.

Na te słowa ostatnie Barbarka uśmiechnęła się ironicznie; niektórzy to uważali, drudzy na oratora li patrząc, nic niewidzieli, a staruszek tymczasem tak mówił dalej:

— Owo w dziedzińcu stoją fury ładowne, są w nich srebra, klejnoty, złotogłowia i różny sprzęt drogocenny; za temi pójdą dobytki, a za tem wszystkiem później obszerne ziemie i gotowizny; to jest posag, który rodzice przydają do dziecka, oddają tobie w ręce i mówią zasie: Bierz to i rządź ten wedle twej woli: niechaj dobytki nasze użyźniają twą ziemię, niech skarby nasze podsycą twe skrzynie i niechaj się mnoży to wszystko pod łaską Bożą w nieskończoność, ażeby wam obojgu nie zbywało na niczem w tem życiu, ażeby się głodny przy was nakarmił i napoił łaknący i ażebyście dzieci wasze zostawili w tym statku, w jakim was zostawili ojcowie. Ale za tem dzieckiem, które tu widzisz przed sobą, mój panie młody, idzie jeszcze i drugi posag, daleko od tamtego ważniejszy i droższy, o którym nic nie wspominają rodzice, a który wyliczyć i oddać tobie w ręce moim jest obowiązkiem. A posagiem tym jest ów promienisty splendor i odwieczna sława tego znakomitego rodu, z którego wychodzi tobie się dziś oddająca dziecina; a posagiem tym jest ona niepokalana cnota, która zwalisto się rodząc w tej dostojnej Leliwitów dzielnicy, od niepamiętnych czasów nietylko złotemi promieniami oświecała ich miecze, ale nieprzeliczone blaski także roznosiła po świecie przez swe kądziele. Sławy onej olbrzymiej, którą niezliczeni tego świętego rodu rycerze przez tyle wieków na swych mieczach szerokich ze wszystkich stron świata naznosili pod starożytną tarczę Leliwy, ja wyliczać nie będę... albowiem *tacet de Achille, qui non est Homerus*. Nie będę więc przypominał, że protoplastowie tego rodu w egipskich śpią katakombach, nie będę wyliczał tych, którzy z wyniosłemi wojowali grekami, ani tych, którzy rozpustą spodlone bijali rzymiany; tem mniej w to potrafię, ażebym owych Leliwitów tysiące, które pod przenajświętszem Krzyża Chrystusowego znamieniem żywoty swoje kładli, godnie zaprezentował; a niechaj mnie w tem zastąpią one księgi przesławne, które o tych rycerzov dostojności i sławie piszą, a które ty, panie młody, w każdej chwili spokojnej bierz do twej ręki i czytaj w nich one rzeczy nieporównane, dzisiaj przez oto tę dziecinę nieposplitą swą cześcią w dom twój się przenoszące. A kiedy będziesz czytał one księgi przesławne i umysł twój olśnie od owego słonecznego blasku, który tę starożytną otacza Leliwę, nie myśl, mój panie młody, ażeby to był już ten skarb wszystek, któren się z nią razem w twoje dostaje ręce. Nie myśl tak, albowiem to jest dopiero jego połowa. Białogłowy, pod tą promienistą zrodzone tarczą, w niczem nie ustępowały swym braciom, a jeżeli oni z mieczem w ręku zapędzali się w dalekie tej ziemi kraje, ażeby tam coraz nowe laury zdobywać i znosić pod wspólną strzechę, to one umiały z całą skrzętnością i powagą, jaka bogobojnym niewiastom przystoi, utrzymywać w wiecznej świeżości te wieńce, splatać je ze starymi, nasiona z nich zbierać i zasiewać niemi żyzne serca swych dzieci. Nie potrafią nigdy moje usta nieudolne wypowiedzieć tych cnót niezliczonych, któremi błyszczą wszystkie Leliwitki w przeszłości. Czyjeż serce bowiem sprosta onej pół świętej bogobojności, która stanowiła treść żywotów, onej skromności anielskiej, z którą od ołtarza wracając, raz na zawsze wyrzekały się wszelkich uciech i błyskotek doczesnych, onej miłości nakoniec, która jako drugi stróż anioł pilnowała serca i sumienia swojego męża i pana, która białem swem skrzydłem odganiała wszystkie ciemne myśli od niego, która jako gwiazda biała unosiła się wiecznie nad jego głową, towarzyszyła mu we wszelkich sprawach, oświecała niewinność przed jego sąd postawionych, objawiała nędzę pomocy od niego łaknących, wstawiała się za pozbawionymi łask jego, strzegła jego mądrości na sejmach, jego przytomności na kołach, dodawała odwagi w boju i niewczesne chłodziła zapały w niebezpieczeństwach! Kto wyrówna takiej miłości, która sama pod niebytność męża całym rządziła domem i rozległą fortuną, która umiała własnoręcznie pielęgnować nędzarze, karmić głodne i napawać łaknące, która pod swoję opiekę brała wszystkie wiejskie sieroty, która nmiała pomimo to ani na chwilę nie spuszczać z oka i serca swych dzieci i przy tem wszystkiem tyle jeszcze oszczędzać czasu od swych zatrudnień, ażeby jej własnorecznemi robotami przyozdobione były ołtarze wszystkich parafialnych kościołów! Te, którem tu wyliczył, serca i umysłu przymioty zdają się już być ogromem, a przecie to nie jest jeszcze połowa onych skarbów wybornych, któremi zwykła błyszczeć dusza tych Leliwitek. Umiały one bowiem nieraz przyrodzonym rozumem przenosić męże z mądrości w narodzie słynące, umiały naukami wyrównywać najsławniejszym uczonym, umiały męztwem słynąć rycerskime, a rzadko z nich która, coby w swojej młodości dzikich nie dosiadała rumaków, nie strzelała celnie z samopału, nie potrafiła całej swej siły zestrzelić w rękę i pałaszem zawładnąć. Nigdy jednak się nie zdarzyło, aby ta przyrodzona krzepkość ich ducha zatarła sobą dobroć i uległość ich serca, a lubo nieraz bywały wypadki, że która z nich na swym zamku męża swego w hetmaństwie nad załogą musiała zastąpić, toż przyczyniwszy przez to nowy listek sławy do wieńca koronującego Leliwę, w skromności swej i anielskiej pokorze żadna się tem nie chełpiła, i poddając siebie i losy swoje pod rozkazy swojego męża i pana, każda z nich była niezrównanym wzorem najlepszej matki i żony. Takie usposobienia znajdują się w Leliwitkach, taki posag moralny dawała zwykła ta starożytna pani swym córkom; takiż sam posag, lubo jeszcze *in crudo* na dnie duszy i serca spoczywający bierzesz i ty, panie młody! Bierzże więc i pamiętaj, że ci dają do rąk bryłę szczerego złota, że ci dają klejnot najpierwszej wody. Złoto to nie jest jeszcze brantowne, kamień to nie doprowadzony do najjaśniejszego blasku, skarb ten bowiem był dotychczas w domowej zamkniętej komorze i owiniony w opiekę i miłość rodzicielskiego serca: ty go dzisiaj z tej komory na świat wielki wynosisz, ty go z onych pieluch niemowlęcych rozwiniesz i do słońca postawisz, pamiętając na to, ażeby kiedy weń promienie ludzkiego wzroku uderzą, nie topiły się w skazach jakich i plamach, jeno żeby się odeń odbijały w takiej jasności i blasku, w jakich świecić przed tyle wieków! *Crescite ergo et multiplicamini, et multiplicetur in vobis* on splendor starożytny, *multiplicetur* dostojności i cnoty, ażeby wam była sława i cześć po ostatnie czasy, a w końcu, a po nim wrota otworzone do przybytku Pańskiego i wieczne z jego ręki najświętszej zbawienie.

Tak skończył kapelan. Tymczasem pan chorąży sanocki, swat niegdy stolnikowicza, a teraz tuż przy jego boku stojący, pokłoniwszy się kapelanowi głową, lekko wąsa pokręciwszy i poprawiwszy wylotów, z przyzwoitą powagą i gestykulacyą zaczął w ten sens:

— Starym obyczajem pradziadów naszych, które w tym bogobojnym ziemi naszej zakątku nie poszły jeszcze w zupełną poniewierkę, *summa pietate devoti*, my, *primus* tego nowego maryażu *motor* et dziewosłąb, ze czcią i uszanowaniem przyjęliśmy na siebie obowiązek w imieniu tu przytomnego pana młodego, przyjmowania, odpowiadania i dziękowania *pro ineffabili honore*, którego w dniu dzisiejszym waleczny Gryff doświadcza od strzelno-promienistej Leliwy. I prawdaż rzadko komu przy końcu chwalebnego i pełnego czynów walecznych żywota tyle *licet* jasności, ile ich świeci Leliwitom już przy samej kolebce. Prawda! protoplastowie rodu tego, którego imienia nigdy bez czci i poszanowania nie wymawiamy (tu się pan Błoński zgrabnie podkomorzemu ukłonił)—śpią około piramid, późniejsi wojowali z grekami, bijali rzymiany, a ich wnukowie, do blasku swoich starożytnych gwiazd i księżyców słońce Krzyża świętego dodawszy, stali się i są do dziś dnia jedną z najświetniejszych ozdób tej ziemi, która tysiącami samych najwyborniejszych świateł jaśnieje. Ale jeżeli pomiędzy temi światłami jedno z najprzedniejszych miejsc *tenet* promienista Leliwa, toż tam w tej chwalebnej hierarchii *non humiliorem locum* dzierży i Gryff starożytny, *unguibus et rostro contra hostem armatus*. Gryff ptak wspaniały, błękitnemi i złotemi piórami pancerny, w merydyonalnych tylko regionach *patriam suam* mający i w gorących piaskach pustyni *prolem suam* wywodzący, a dziś już, *ut ajunt* ornitologowie, całkiem już z tej ziemi wyrugowany, Gryff mówię, sam to dostatecznie zaświadcza, jak starożytnym musi być ród ten, który się pod jego urodził skrzydłami. A jak walecznymi w boju być musieli tego znaku rycerze, dowodzi Aristaeus, autor pogański, na sześć wieków jeszcze przed Narodzeniem Pańskiem żyjący, który *ges longum et latum* opisuje one sławne wojny, które ten ptak starożytny, złotych kopalni swoich strzegący, z jednookim arimaspów narodem przez długie wieki prowadził, a to z takim skutkiem, że to skytyjskie pokolenie nakoniec od jego broni wyginęło do szczętu. Późniejszemi czasy, chorągiew, tym czworonożnym orłem ozdobna, także nie spoczywała: i widzimy ją w Grecyi, widzimy na ruinach zwycięzkiego Rzymu, widzimy pomiędzy sztandarami sasów i niemców, aż nakoniec nam się jawi w służbach u Bolesławów i w całej świetności a blasku bije niemce pod Grunewaldem. I ta pamiątka już nam jest najmilsza, bo tutaj pod onym lwem skrzydlatym, złotemi literami wyryte, jaśnieje imię pana Zygmunta *comitis de* Bobowa, a w prostej linii pra-pradziada oto tutaj przed wami stojącego pana młodego. Dalszych dziejów tego sławnego rodu opowiadać nie będę, bo któż jest w stanie przytoczyć choćby jeden taki plac boju z całego ciągu naszej historyi, na którym przynajmniej pułk jeden nie był wystawiony sumptem jmć panów Bobowskich? A że ten ferwor ku służbie rycerskiej, któren tak świetnie jaśniał pod Warną, jak pod Chocimem, Cecorą i Kircholmem, i do dziś dnia w tej samej sile żyje we krwi tego pokolenia, świadkiem będą ci wszyscy, ktorzy wiedzą, że jeden tego rodu potomek, któremu młodość wypadła w czasy ciche i spokojne, kiedy się wojny nie mógł doczekać w kraju, poszedł i znalazł ją na kresach.

Na te słowa szmer przyznający i niby pochwalny dał się słyszeć pomiędzy przytomnymi; stolnikowicz skromnie spuścił oczy ku ziemi, a pan chorąży tak mówił dalej:

— Więc tuszymy sobie i mamy tę nieomylną nadzieję, że chociaż ten Gryff nasz ukochany, nad którego głową sam żywy księżyc nie świeci, nie sprosta w świetności promienistej Leliwie, jednakże walecznością swoją potrafi w przyzwoitym blasku utrzymać oną sławę wiekopomną, która teraz do jego domu spływa, a jako żaden promień jeszcze, któren po kądzieli wpłynął pod strzechę Bobowskich, w chmurach lub ciemnościach nie zginął, tak i ten świecić będzie w czystości swojej po wieki wieków. Co tedy oddawna jest najgorętszem serca naszego pragnieniem, a co się dziś ze wspaniałej łaski waszej nam ziszcza, przyjmujemy najpierwej w serce nasze i progi, a potem dziękujemy wam jm. rodzice i prosimy, ażebyście tu o nas byli sobie spokojni, nie tęsknili bardzo za nami i łez nie wylewali obfitych: my bowiem, chociaż się od was oddalamy, pamięcią, miłością i posłuszeństwem zostajemy przy was na zawsze, a całem naszego życia staraniem będzie, ażebyśmy mniej żyli dla siebie i świata, a więcej dla was, i stali się pociechą i podporą waszej, oby to dał Bóg! jak najdłuższej i najweselszej starości. Czego życzę z całego serca—dodał pan Błoński, kłaniając się podkomorstwu, stolnikowiczowi i Barbarce—czego życzę z całego serca w mojej i całej tu zgromadzonej kompanii imieniu!

Na to powstał znowu szmer przyznający w całem zgromadzeniu, niektórzy nawet głośno wymawiali: Życzymy! winszujemy, daj Panie Boże!—za co podkomorzy z podkomorzyną, z miejsc swoich powstawszy, kłaniali się gościom w tę i ową stronę, goście zaś im się kłaniali, i to trwało przez długą chwilę. Wśród tych ukłonów atoli stolnikowicz, wziąwszy pannę młodą za rękę, przystąpił do rodziców i rzucił im się do nóg z nią razem; w ten moment też ustały pokłony, a poczęły się błogosławieństwa. Błogosławili tedy najpierwej wśród łez i głośnego płaczu rodzice, kładąc ręce swoje na głowach obojga młodzieży, którzy ich ściskali za nogi... błogosławiły potem stryjenki i ciotki, błogosławili wujowie, a wszyscy ze łzami w oczach i niezrozumiałemi słowami w ustach, aż kiedy się państwo młodzi onemu stuletniemu staruszkowi rzucili do kolan, wstał tenże ze swego krzesła i laskę swoją opuściwszy na zaścielony kobierzec, podniósł obiedwie ręce nad ich głowami i bez łez w oczach i gardle, chropawym, trzęsącym się głosem powiedział te słowa:

— Błogosławię was, dzieci moje! Trzymaj, panie Bobowski, Karsznicką, ażeby w czasie nie stała się ona mężem, a ty żoną, bo wielkie w tych kobietach bywają za regimentem pochucie; pilnuj, panno, twojego męża, bo Gryffowie, acz rzadko giną od strzał, które ich trafiają na polu Marsa, często jednak pod strzałami upadają, które rad do nich wypuszcza Kupido. Silnie się tedy musi trzymać waleczny Gryffus, biorąc za żonę Leliwę; bacznie się opatrywać musi Leliwa, biorąc za męża Gryffa. Tę przestrogę przyjmijcie ode mnie starca, który już miliony widział kolebek, milionom przypatrywał się maryażów i miliony trumien pogrzebał. Ale że się przeciwnościom tego świata obronić i wiktoryę nad niemi odnieść potraficie, tuszę po waszej miłości i wzajemnych cnotach waszych... więc błogosławię was do tej walki i życzę, ażeby wam się stało tak długie szczęście, jak długiem jest moje życie.

Ta krótka, ale niezwyczajna perora stuletniego starca niemałe zrobiła wrażenie na wszystkich. Powiedziana nad głowami klęczącej pary głosem twardym, chropawym, urywanym i jak gdyby wychodzącym z zagrobów, zdawała się ona raczej jakąś fatalną być przepowiednią, niżeli błogosławieństwem. Wstali też z pod niej smutni i z zaschłemi na twarzach łzami państwo młodzi, a wstawszy, oczu nie mogli podnieść do góry; Błoński, kapelan i kilku innych starszych, a dobrze domowi życzących, aż się poodwracali od mówcy. Podkomorzy stał chwilę w osłupieniu i to obawa jakaś pomieszana z boleścią, to niechęć malowała się naprzemian na jego twarzy, podkomorzyna zaś sama, łzy coraz obfitsze lejąc, nakoniec w głośny płacz wybuchnęła. Co gdy się stało, wrażenie, które zrazu ogarnęło wszystkich, jeszcze się wyraźniej odbiło; niektórzy z gości poczęli się rozwlekać po tej i innych komnatach, drudzy zgromadzili się w kółka i coś z sobą gwarzyli, a w jednem z takich kółek pan Rossowski z Myczkowa, mąż naukami różnemi, a głównie astrologią się zabawiający, dowodził półgębkiem wprawdzie, ale dobitnie i jaśnie, że w konstelacyi herbowych znaków tych domów obudwóch ominując, żadnym sposobem nie można wywróżyć szczęścia dla tego małżeństwa. Przeczył jemu stanowczo pan Jundziłł i argumentami zdrowego rozumu, jak taranami, walił w misterne wymanierowanego dowcipu budowy, ale pan Rossowski, jak ono dziecię, które budki z kart stawia, kiedy mu jedną powalono, stawiał wraz drugą i nakoniec nie utrzymywał koniecznie, że w przyszłych walkach ta albo owa strona paść musi, ale też i nie odstąpił od tego, że musi tam być niezgoda i bój pod tą strzechą, pod którą Gryff się połączy z Leliwą......

W zahoczewskim dworze podtenczas było cicho, jak zawsze, gołębie po staremu wespół z domowym brytanem przechadzały się najspokojniej po dziedzińcowej murawie, żadne przed gankiem nie stały zaprzężone powozy, sługi się nawet nie kręciły po sieniach... a przecież i tu być miało wesele.

Miało być i było. Ledwie bowiem panowie młodzi weszli na górne pokoje, wpół pacierza można ich było już widzieć wychodzących napowrót wespół z maleńką tego wesela drużyną. I ciągnęła się ta drużyna pieszo przez dziedziniec i bramę, przez kładkę na maleńkiej rzeczułce leżącą, przez wieśne łąki i sady prosto ku drewnianemu kościołkowi, na zielonym pagórku stojącemu.

Ale i domek ten Boży nie przyjmował ich żadnemi oznakami niezwyczajności. Stał on sobie, jak zawsze cichuteńko, pomiędzy staremi jaworami, które górnemi konarami swemi po nad jego dach się przeginały, po jego dachu i po dzwonnicy niespokojnie przelatywały kawki i wrony, zaglądając w czerwonawo zachodzące za lasem słońce i wróżące wiatry i niepogodę; nikt z ludzi nie stał około bramy, nikt pod dzwonnicą, żadne twarze ciekawych nie wyglądały z kościołka, a przychodzących witały tylko drzwi przez połowę otwarte i małe krzyże drewniane, na około kościoła na grobach zapadłych stojące, popróchniałe, w zwiędłą zieleń poowijane i w różne strony starością swoją i zapomnieniem ponachylane.

W pół otwarte drzwi kościołka rączo weszli weselnicy. I weszła naprzód Julia z Grottem, pod ramię ją prowadzącym, za nią pan Stanisław pannę służebną Julii przy sobie wlokący, za nimi pani łowczyna ze starym Dzianottem, a nakoniec Pakosz, w ogoniastą suknię ubrany i ogon tego weselnego zastępu czyniący.

Prędkim krokiem przystąpili wszyscy przed ołtarz, na którym bladem światłem jaśniały dwie świece woskowe, robionemi różami wpół przewiązane, a przed którym na krześle siedział ksiądz staruszek, pleban hoczewski, ten sam, który niegdyś przyjmował wota braci ślubnych w swoim kościele. Na widok weselników, staruszek powstał i powitał ich ukłonem, ale pan łowczyc, który się ciągle oglądał, jak gdyby nad nim gorzało, mało zważał na te ukłony, i zaraz dobył indult z kieszeni i oddał go księdzu. Ksiądz papier odebrał, włożył na nos okulary, pismo półgłosem przeczytał, i spojrzawszy na pana młodego, zapytał:

— A spowiadałeś się, panie młody, i przyjmowałeś Przenajświętszy Sakrament?

— Tak jest—odpowiedział łowczyc—spowiadał i komunikował mnie ksiądz z Żernicy.

— Hm!—rzekł na to do siebie staruszek, wychodząc na najwyższy stopień ołtarza — hm!... nie było to do Hoczewki przyjechać?

Ale ponieważ zresztą żadnej innej kanonicznej przeszkody nie było, ślub się odbył w mgnieniu oka, a weselnicy, przyjąwszy od plebana krótką i zwięzłą gratulacyę, i powiększywszy nim swoje niewielkie grono, szybkim krokiem powrócili do zamku.

W zamku czekała już na nich zastawiona cukrowa wieczerza, ale pan łowczyc ani spojrzał na ten stół światłem, kwiatami i różnemi wybornemi cukrami ozdobny, którym się rad był przed całym światem pochlubić pan Dzianott—pan łowczyc ani się patrzył na to wszystko, jeno pokręciwszy się tu i owdzie, poprosił, aby mu kielich podano, spełnił nim zdrowie rodziców swej żony, odebrał napowrót zdrowie państwa młodych, pogadał coś z matką swoją staruszką, oddał pod jej opiekę Julię, zostawił im swoją pięciokonną landarę, ażeby nią nazajutrz do Żerniczki jechały, pocałował potem w rękę swą żonę, pokłonił się domownikom i wraz ze swoim drużbą wsiadłszy na koń, pędem się puścili napowrót ku Balogrodowi. ..

„*WNUCZĘTA*".

Racibor tymczasem, trzymając między kolanami to złoto, za którego dostaniem dziewięć dni i nocy strawił w najusilniejszych trudach i pracy, puścił się jak strzała szlakiem zrobionym przez wysłane naprzód fornalki, a chociaż szlak ten już przez połowę był zasypany i nieraz tak się zdarzało, że w jego oczach w jednej prawie sekundzie położyła się zaspa przed końmi, to jednak konie szły z dobrą fantazyą, a sanie sunęły za niemi tak lekko, że Racibor już się naprzód cieszył swem szczęściem i począł myśleć o tej chwili, w której z workiem złota w ręku pojawi się nagle jako zbawca nieszczęśliwej Kamilli. Atoli zaledwie tysiąc kroków ujechali za wieś, już coś czarnego zamajaczyło przed nimi, a siwy koń, przystrzygłszy uszyma, zadarł głowę do góry i zarżał za wichrem. W kilka też minut dojechawszy do tego majaka, poznali oni, że to była jedna z wysłanych fornalek, która, zatopiwszy się w zaspie, szamotała się na wszystkie strony, nie mogąc się z niej na żaden sposób wydobyć. Ostafi zaśmiał się klnącemu fornalowi w oczy i powiedziawszy mu, żeby wydobywszy się z zaspy, prosto do domu powracał, ominął go bez trudności i posunął dalej. Wszakże o kilkaset kroków dalej, znowu siwy koń rżeniem dał znać, że kogoś zdybują, — i była to znów druga fornalka, która ugrzęzła i zatopiła się w śniegach.

— Coś źle, mój Ostafi? — spytał Racibor, widząc, że tak tamte konie się topią.

— A źle, jaśnie panie, dał-by jeno Bóg, żeby nie było gorzej, — odpowiedział Ostafi i ominąwszy w ten sam sposób i drugą fornalkę, jak pierwszą, pojechał dalej.

I tak śród burzy, huczącej po stepie i miotającej całemi płachtami śniegu, ujechali oni jeszcze może z pół mili. A kiedy się znaleźli na gołym stepie, i nigdzie na około nie widać było ani wsi, ani lasu, ani drzewka nawet żadnego, tylko morze śniegu bez granic i końca, i całe chmury takiegoż samego śniegu, to ciągnące jak gdyby wojska jakie stronami, to przewalające się z sobą po ziemi, to przelatujące z szumem i świstem przeraźliwym po nad ich głowami, i Ostafi zwolnił koniom cokolwiek kroku, ażeby się dobrze opatrzyć, gdzie się znajduje: nagle, jak gdyby mocą czarodziejską zaklęta, zerwała się burza piekielna.

Kto nie był nigdy na Podolu śród tęgiej zimy i nie widział choć z daleka nadciągających zwykle przed zmrokiem tych stepowych orkanów, które jak gdyby ptaki zrywają się z ziemi i potem pędzą z całą wściekłością dzikiego elementu przez step, nie stawiający im nigdzie zapory, ten sobie nie będzie umiał nawet wyobrazić, jaka burza spotkała Racibora w połowie drogi. Było to bowiem coś takiego, przeciwko czemu wszystkie najwścieklejsze niepogody innych okolic zaledwie się mogą nazwać zabawką rozdrażnionej przyrody. Tam ze stron wszystkich odrazu zerwały się najwścieklejsze orkany i od razu zaczęły swoją grę piekielną. Patrząc na to, nie można było wiedzieć, co to się dzieje; w oka mgnieniu bowiem zrobiło się ciemno do koła, ziemia zdawała się drżeć i trząść od przestrachu, szum i świst przeraźliwy dawał się słyszeć nad głową, a zdala dochodziły uszu jakieś jęki piekielne i całe chóry najdzikszych i nigdy nie słyszanych harmonij, jak gdyby tam gdzieś zapadało się niebo, pękała ziemia i otwierały się paszcze piekieł podziemnych. Tymczasem tutaj wichry podnosiły całe chmury śniegu i niosły je z sobą; gdzieindziej stawały słupy śnieżne, kręcąc się w koło jakby trąby morskie i sięgające do nieba, a tam znowu wicher wyrywał śnieg aż ze skorupą ziemi i z zamarzłemi grudkami piasku niósł go światami. W tej też chwili było tak, że woźnica koni nie widział przed sobą, a Racibor nie widział woźnicy, czasem cała zaspa śniegu spadła pomiędzy nich obudwóch do sani, czasem cała góra biała, jak gdyby upiór powstający z pod ziemi, stanęła nagle przed końmi. Ale pomimo to, konie parły naprzód ze wszystkiej siły, rysak pruł śnieg przed sobą i łbem i piersiami, i zdawał się płynąć po wierzchu śniegu, siwy w ciągłych szczupakach to wskakiwał w głąb tej drogi puchowej, to wyskakiwał znów na wierzch, a sanie rączo pomykały naprzód.

Pomimo to wszakże, iż jazda zdawała się im iść dosyć rączo, zaledwie może ćwierć mili ujechali śród tych wściekających się wichrów i zamieci, obrócił się Ostafi do Racibora i rzekł:

— Oj! panie! niedobrze; kto wie, co tu będzie.

Przerażony tą uwagę Racibor podniósł się trochę z siedzenia i chciał spojrzeć na konie, ale w tym momencie olbrzymia chmura śniegu, kręcąc się z przeraźliwym świstem, padła prosto na nich i na konie; nie widząc tedy nic prawie, Racibor spytał tylko:

— Ale wiesz przynajmniej, gdzie jesteś?

— Powinniśmy być teraz na grafowskiej granicy, bo oto dopiero co błysnęła mi po prawej stronie Męka Pańska, która tam stoi pomiędzy kopcami, — odpowiedział kłapiący zębami Ostafi.

— To przeżegnaj się, mój Ostafi, i ruszaj!

Ostafi też ruszył lejcami, zagadnął po swojemu do koni i znowu parł naprzód, a burza wyła coraz wścieklej i groźniej i zaczął zmrok już zapadać powoli. Chwilami też robiło się tak ciemno, jak śród nocy, i nie było widać, nawet ręki trzymanej przed nosem. Ujechawszy tak znowu jakąś przestrzeń niewielką, jeszcze raz się obejrzał i rzekł:

— Panie! źle!

— Co znowu? — zapytał Racibor głosem słabym i zachrypłym, bo wichry robiły się coraz mocniejsze, śnieg coraz suchszy i słowa zdawały się zamarzać na ustach.

— Widzi mi się, że rysak już co jeno nie ustanie, — odpowiedział Ostafi.

— Pana Boga na pomoc i wio! — krzyknął z przerażeniem Racibor. —Nie da Bóg zginąć dobrym ludziom tak marnie.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołał Ostafi i kuląc się coraz niżej na koźle, ruszał jeszcze, ile miał siły. A orkany wściekały się jeszcze groźniej, bałwany śniegu marznącego w powietrzu z szatańską mocą uderzały w boki całego statku, albo go przysypywały z wierzchu i podczas kiedy w górze było słychać piekielne rwanie i darcie się chmur gęstych, przelatujących zeskrzypiącym szumem, jakby jakieś okręty powietrzne, dołem mróz chwytał ognisty, oddech zamarzał w gardle, przeciskał się aż do kości, zasklepiał oczy. Racibor widział, że źle jest i czuł, że sanie ciągną się coraz powolniej i zdawało mu się, że nawet ustają chwilami. I chciał pomyśleć o tem, co-by tu zrobić, ale myśl krzepła mu w głowie, usta przymarzały do siebie, oczy się nie mogły otwierać, a coraz mocniejsza senność opadała całe ciało jego; od chwili do chwili tylko pokazywał mu się przed saniami po prawej stronie wzniesiony łeb siwego konia i zdawało mu się iż słyszy jego parskanie.

Aż też w jednym momencie znowu taki wściekły bałwan marznących śniegów z szatańską mocą uderzył w statek, i zdawało się, że konie stanęły. Racibor się podniósł i patrzył przed siebie, lecz nie mógł nic widzieć, bo śnieg gęsty miótł na poprzek sani i coraz bardziej ciemniało na dworze. Nareszcie nagle przedarły się z przerażającym rykiem chmury nad jego głową, promień jaśniejszego cokolwiek światła padł prosto na sanie i tyle tylko oczy Racibora oświecił, iż mógł dojrzeć wyraźnie, że rysak leżał wyciągnięty przed saniami i śnieg go już przez połowę zasypał, koń siwy rwał się z całą wściekłością i stawał dęba naprzeciw wichrom, a Ostafi stał po pas w śniegu nad tonącym coraz głębiej rysakiem, i skostniałą rękę ze skórzaną nahajką trzymając w powietrzu, szklanemi oczyma patrzył na straconą ostatnią nadzieję. Ale przytem wszystkiem zdawało się Raciborowi, że w tym chwilowym błysku światła widział tuż o sto kroków przed sobą grupę drzew i pałac Kamilli, który wszakże w mgnieniu oka zasłoniła przed nim czarna przeciągająca chmura.

Na ten widok reszta krwi niezastygłej zbiegła mu do serca, wściekła rozpacz zaglądnęła mu w oczy, lecz przecie jeszcze miał tyle przytomności, że zlazł z sani i zawołał:

— Ostafi! co to jest?

— To śmierć, panie, — wyszeptał Ostafi zamarzłym głosem, a w tem wichr mroźny wionął mu w same oczy, przejął całe ciało jego do kości i Ostafi zakrzepł tak, stojąc po pas w śniegu, z oczyma patrzącemi na leżącego rysaka i z prawą ręką wyciągniętą nad jego trupem.

Widząc to, rzucił się Racibor ku niemu i brnąc przez śniegi, dobił się nakoniec do niego, wołał i trącał go ręką, ale Ostafi nie odpowiedział już nic, bo w jego piersiach nie było już oddechu, i był to już tylko posąg wiernego sługi, martwy jak głaz i zimny jak bryła lodu wyobrażająca postać człowieka.

Rozpacz jeszcze głębsza chwyciła Racibora, stanął on, patrzył przed siebie i chciał myśleć, lecz nie mógł, bo coraz wścieklejsze orkany biły prosto w twarz jego, oddech zamarzał mu na ustach i członki kostniały coraz mocniej, i Racibor sam sobie powtórzył w duszy: To śmierć.

A tymczasem koń siwy, szamocząc się coraz słabiej przy saniach, rzucił się raz jeszcze z rozpaczliwą wściekłością i z przerażającym jękiem runął na swego towarzysza, przysypanego już całkiem śniegami.

Racibor chciał się obrócić raz jeszcze ku saniom, chciał wziąć worek ze złotem i puścić się pieszo w dalszą drogę, ale już członki jego, zmęczone dziewięciodniową bezsennością i pracą, a teraz zakrzepłe w śniegu i w mroźnych zamieciach, odmówiły mu swojej usługi. W tej ostatniej rozpaczy złożył on ręce, oczy podniósł w górę i chciał się modlić do Boga o pomoc, chciał resztę życia ofiarować swojemu Stwórcy za jedną godzinę przytomności i siły, ale modlitwa mu zamarła na ustach i mózg zlodowaciał pod czaszką. A wtem znowu rozdarły się czarne chmury nad jego głową i znowu błysk światła oświecił wzrok jego, i znowu zdawało mu się, że widzi tuż przed sobą pałac Kamilli, ludzi dojrzał na ganku, światełka migały w oknach... Ale to był ostatni już widok jego za życia. W momencie bowiem ryk okropny dał się słyszeć na nim, fala lodowatego śniegu uderzyła go w twarz, oczy obciągnęły się lodowatą skorupą i ostatnia krwi kropla przy sercu zastygła. Bez oporu też i bez jęku skostniał on pod tą falą okropną, a wtem uderzyła druga fala i trzecia i dziesiąta, i w kilku minutach potem stanęła nad temi trupami tylko wielka śnieżna mogiła, na której poczęły hulać wichry stepowe, śpiewając i świszcząc najdzikszemi tonami jakąś piekielną harmonię...

Redaktor i Wydawca Kazimierz Zalewski

Дозволено цензурою — 6 Сентября 1896 г.

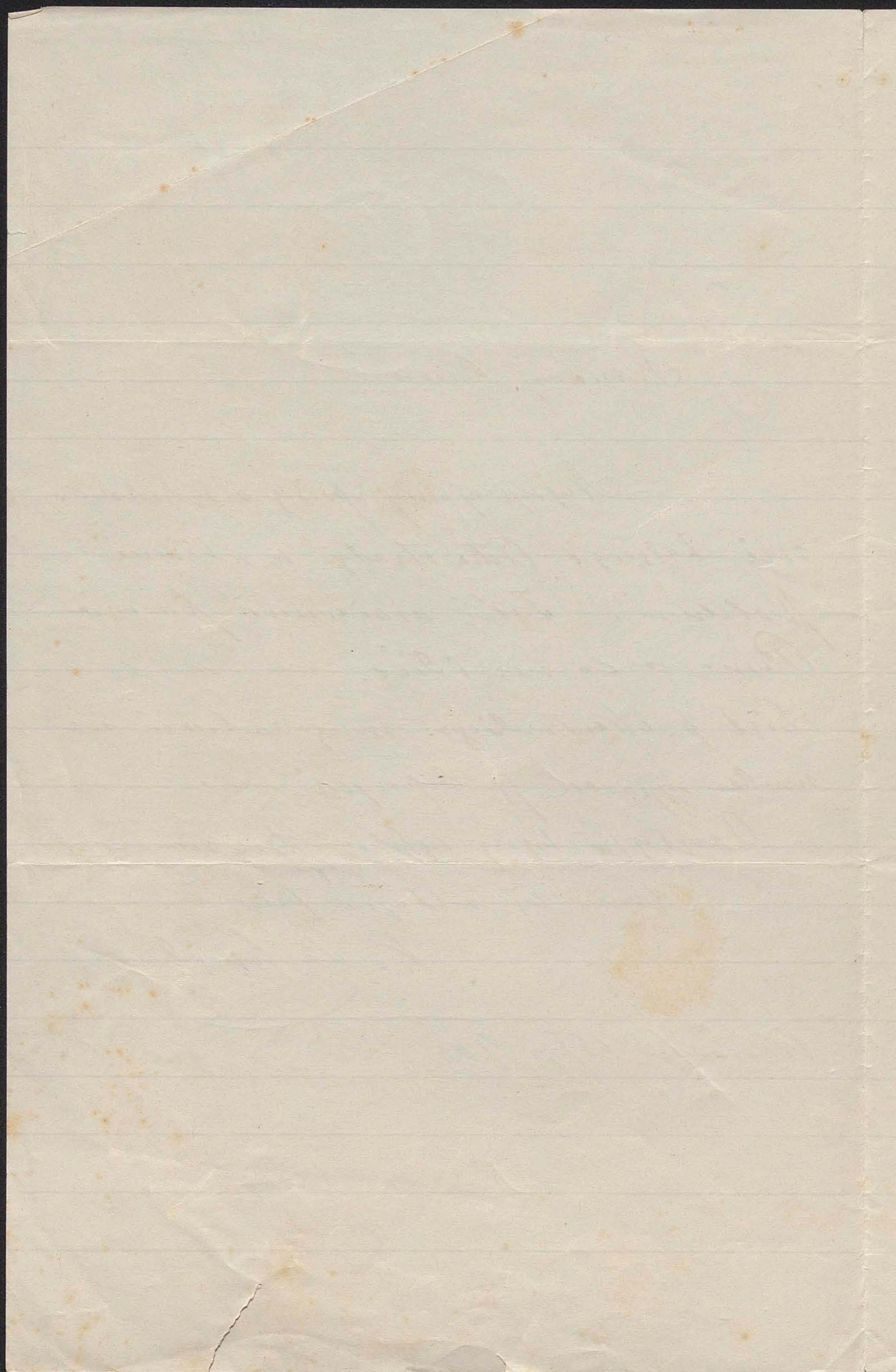
Drukiem „WIEKU" Nowy Świat Nr.61.

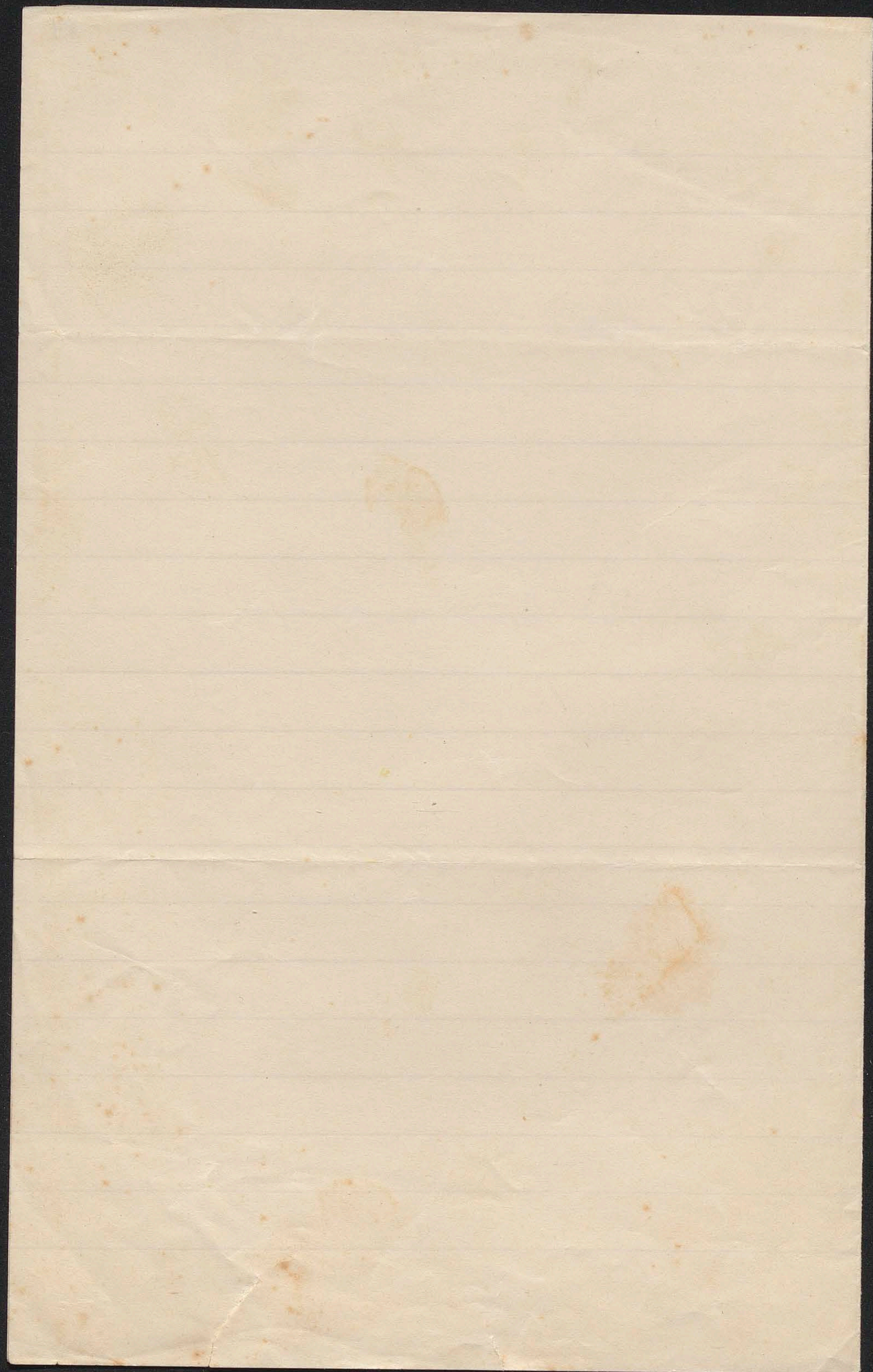
Szanowny Panie!

Najuprzejmiej proszę o wydrukowanie mojego „[illegible] otwartego" w „Kronice Polskiej". Treść uświadomi [illegible] Pana o co mi idzie.
List p. [illegible] proszę zachować na wielki wypadek w depozycie.
Łącząc wyrazy szczerego poważania
mam się za oddanego Panu
K. [illegible]

Warszawa 15/I 903

Dr. [illegible]





Chère madame 25

La conférence est à 9h moins le 1/4, mais pour trouver des places il serait peut

Anatole Leroy-Beaulieu

Membre de l'Institut

être prudent d'arriver à 8h 1/2

Bien respectueusement à vous

69, rue Pigalle

Sully Lecompte

Dr hr. W. Łosia

(gonfaniere)

Do prof Łuszczkiewicz

W sprawozdaniu opuściłeś rzecz o Bogarodzicy.

Interes Malinowskiego z Mâcon potrzeba ze złożoną konkomitatiwą, wysłać do Przezdzieckiego Paris 38 rue de Berri. Podpisze to Lubomirski, który w tych dniach będzie w Krakowie. Jemu też przygotuj do podpisu referat o Skarówkę, który ma odejść do Arcybiskupa.

Bądź łaskaw popisać urgensa w sprawach zaległych czynności różnych komisyj. Lubomirski bowiem, pragnie przez czas parudniowego w Krakowie pobytu swego, załatwić interessa oddziału.

Twój Józef

1/II 67

Józef Łepkowski
archeolog

Wielmożnemu Panu
Władysławowi
Łuszczkiewiczowi
Profs. Szk. Sztuk
pięknych

<u>Kopija</u>

Lwów d. 30/11 1876

Do Wład. Mickiewicza
(kopiował kto?)

Panie!

List Pański z dnia 27/11 otrzymałem
i mocno zdziwiła mię treść jego.
Więc według zdania Pańskiego Adam Mic-
kiewicz pisał tylko dla tego aby Panu zapew-
nić dochód? Więc genjusz Jego, prace całego
życia były li tylko dla Pana – więc nawet
prace Jego kiedy o egzystencji Pańskiej
na świecie ani było przypuszczenia,
wszystko to było dla Pana i li tylko dla
Pana? Rozumiem prawo własności
literackiej ale nie rozumiem zabiegów
Syna przeciwko popularyzowaniu dzieł Ojca.
Mają inne narody wielkich poetów
a chociaż może nie tej skali co genjusz
Adama Mickiewicza których prace da-
leko mniej mają wartości dla swego na-
rodu jak prace naszego wieszcza z przyczyn
politycznych, i że nie są tak na wskroś
narodowemi, nie są natchnieni taką go-
rącą miłością ojczyzny a jednak ich dzieła
rozchodzą się pomiędzy ludem, są bajecznie
tanie i znajdują się w rękach każdego

gdy u nas tylko wybrańcy mogą czytać
dzieła Mickiewicza. Pan tak zmonopo-
lizowałeś jego genjusz, tak go na franki
obliczyłeś jakby to były przedmioty
materjalne. I skutkiem tego więcej się
w Polsce sprzedaje dzieł Szyllera Getego
jak Adama Mickiewicza.
Umiem cenić własność literacką, chociaż
nawet tak fatalnie pojmowaną jak
Pan ją pojmujesz, i udawałem się do Pana
z propozycyą sprzedania mi prawa prze-
druków niektórych rzeczy do Biblioteki
Mrówki. Otrzymałem odpowiedź że Pan
sam tylko będzie wydawać dzieła Ojca —
jakby z obawy aby wydawca nie miał
jakiegokolwiek zysku, bo cały zysk do
Pana należy. Nie o zysk mnie chodziło
tylko o zasadę, tylko o rozpowszechnie-
nie między narodem tego co dla narodu
było pisane, tylko o wyciągnięcie
na widok publiczny, tego co dla publicz-
ności napisane.
Czyż mogłem mieć jaki interes popie-
rając Pańską Bibliotekę budową
w różnych czasopismach. Czyniłem

29

to dla zasady że taką Bibliotekę jest pożyteczną, i nie tylko Pańską Bibliotekę, ale wszystkie wydawnictwa także stale od lat dwudziestu popierałem i popieram, i w tym celu sam nawet rozpocząłem wydawać Bibliotekę Mrówki. Nie o zysk mi chodzi, bo Biblioteka Mrówki ~~nie~~ opłaca mi kosztów wydawnictwa, - ale pierwiej byłem Polakiem jak kupcem, i nigdy nim być nie przestanę. Przechodząc do strony praktycznej, gdy otrzymałem od Pana zapewnienie że pod żadnym warunkiem nie będę miał prawa podawać w Bibliotece Mrówki dzieł Mickiewicza, oczywiście musiałem tylko ograniczyć się na przedrukowywaniu innych arcydzieł literatury polskiej - ale nie zrzekłem się przez to korzystania z prac Adama Mickiewicza o tyle o ile prawo mi na to pozwala. A ponieważ o ile mi wiadomo żadne prawodawstwo nie zabrania przedruków tak dalece aż do wzbronienia użycia nazwiska autora a nawet bardzo liczne od ogólnej reguły robię wyjątki - przeto nie widząc ~~nic~~ w tem pierwszego przepisom prawnym

podałem wierszyk pod t. Warcaby
w 43 tomiku Biblioteki Mrówki.
Jeżeli Pan sądzisz że nie miałem
prawa tego uczynić w takim razie
niech sąd rozsądzi.

A Bartoszewicz

30

TYGODNIK ILUSTROWANY.





ВАРШАВА 21 18 III 97 10 ПОЧ. КОН. V ЭКС.

Wielmożny
Władysław Bełza
dyr.
we Lwowie
Ossolineum.

franco

